Szl. I
Kowalski Edward
z n a n
szyńskiego

Cena 20 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI | Warszawa, 11 czerwca 1950 r. | Nr 23 (237)

Maxence Van der Meersch — tłum. Jerzy Andrzej Górski

W FABRYCE NOLLARD-LAFAYE *)

Powieść współczesnego francuskiego pisarza katolickiego Maxence Van der Meerscha „Le coeur pur" (wydana w r. 1948), z której fragment drukujemy poniżej, stanowi drugą część cyklu „La fille pauvre". (Część pierwsza „Le peché du monde" była wydana w Polsce przed wojną pod tytułem „Grzech świata"). Treścią cyklu są przeżycia młodej dziewczyny, pochodzącej ze środowiska robotniczego. „Grzech świata" obejmował okres jej trudnego dzieciństwa, w „Le coeur pur" widzimy ją już jako dziewczynę szesnastoletnią, pracującą w fabryce i utrzymującą całą rodzinę. Losy bohaterki stanowią tu dla autora punkt wyjścia dla ukazania jak najpełniej warunków życia klasy robotniczej w ustroju kapitalistycznym. Drukowany przez nas fragment pokazuje nam fabrykę włókienniczą w Roubaix, centrum przemysłu tekstylnego we Francji, i już w tym krótkim urywku widzimy, jak wnikliwie ocenia Van der Meersch stosunki panujące we francuskich fabrykach. Uwypukla w całej grozie wszystkie cechy polityki kapitalistycznych przedsiębiorstw; chciwość, pogardę człowieka, okrutny wyzysk. „Nasz wysiłek obraca się przeciwko nam samym" mówi autor przez usta Denise obrazując w tym zdaniu jeden z najtragiczniejszych skutków gospodarki kapitalistycznej. Opisane tu metody stosowane były nie tylko we Francji, znał je dobrze przed rokiem 1939 i robotnik polski. Warto przy tym zaznaczyć, że wielkie zakłady przemysłowe z Roubaix posiadały również swoje fabryki w Polsce (np. Allard - Rousseau w Łodzi), kierując się tutaj identycznymi zasadami.

Książka ujęta jest w formę pamiętnika robotnicy, głównej bohaterki, stąd język bardziej niż zazwyczaj u Van Meerscha szorstki i niewyszukany, świadomie stosowane ubóstwo wyrażeń. Tłumacz starał się te właściwości oryginału zachować.

Codziennie rano, ledwie tylko zaczynało świtać, wychodziłam z naszej małej izdebki, w ciemności schodziłam po schodach dotykając lepkich od brudu ścian i nie kończącym się, zawsze mokrym chodnikiem szłam przez wąskie, przylegające do szynku podwórko, wzdłuż okien „umeblowanych pokojów". Przemykałam się przez mroczny korytarz okrążający szynk Baussarda, korytarz nazywany prywatnym wejściem. Wychodziłam na ulicę. Była jeszcze niemal noc. Szłam szybko w kierunku mostu Morel. Później przechodziłam wzdłuż kanału, szerokiego pasma nieruchomej, ponurej i smutnej wody. Nie było tu drzew: rozległa, martwa powierzchnia bez najmniejszego odblasku światła, czasem tylko poruszana uderzeniem dzikiego wiatru. Ze wszystkich stron fabryki i przysadziste, czarne, nieubłaganie monotonne mury. Tu i ówdzie pośrodku kloaki pełnej popiołu, tłustej wody i smarów wyłaniał się krępy i cichy, niby uśpiony, potwór — parowy żóraw. Mijały mnie oddziałki cyklistów, grupy Flamandów w milczeniu z wysiłkiem naciskających pedały. Widziałam, jak zbliża się do mnie mała żółta gwiazdka ich karbidowych lamp, rozjaśnionych błyskiem drogich kamieni: czerwonych i żółtych szkiełek. Przejeżdżali, ginęli w mroku kierując się ku Croix-Wasquehal i fabryce Amerykanów. Po prawej stronie w krwawej kałuży rodził się nad miastem nowy dzień uwypuklając czarną palisadę wysokich, zaczynających dymić kominów. Była to godzina, kiedy w głębi piwnic zaspani jeszcze palacze czyścili paleniska i wrzucali w nie pierwszy ładunek koksu. Po lewej stronie poza wyrysowaną przez kanał olbrzymią krzywizną wdzierało się we mgłę pierwsze wezwanie fabryki Nollard-Lafaye. Długi, monotonny, silny ryk. Dalekie, potężne i smutne wycie morskiego potwora. Umilkło już, a echo jego jeszcze rozbrzmiewało bez końca po wiejskich polach. Przyspieszałam kroku ku fabryce, aby rozgrzać palce, splatałam dłonie na manierce z czarną kawą.

**

Fabryka Nollard-Lafaye wyspecjalizowana była w brudach, w „świństwach", były to splątane przędze, wełny, które w poprzednich swych żywotach dwa czy trzy razy miały już postać skarpetek, kalesonów, marynarek czy flanel. Stare, poszarpane gałgany, chemicznie odbarwiane i na nowo snute w sztywne, suche, rwące się nitki. Fabryka kierowała się zasadą, że korzystniej jest produkować tanią, szybko niszczącą się i efektowną tandetę niż artykuły wysokogatunkowe, drogie i nadające się do dłuższego użytku. Większość klientów bowiem nie zna się na niczym, szuka tylko modnych kolorów i nie zastanawia się nad gatunkiem. Zresztą powodzenie naszych fabrykantów wykazywało, że mieli racje, i zmuszało powoli do naśladownictwa większość ich konkurentów, którzy nie chcieli być przez nich zwyciężeni.

Ale robotnik z chwilą gdy raz uświadomi sobie, że produkuje licho, nigdy już nie będzie zadowolony. Przede wszystkim obracałyśmy się w atmosferze brudu i brzydoty. Robiłyśmy na nitkach wielkie węzły, tak jak wszyscy niechlujni tkacze, dostawałyśmy do pracy martwą, chropowatą przędzę, zżartą całkowicie przez chemiczne odbarwniki i kolejne farby, przędzę rwącą się co chwila pomieszaną z odpadkami i źdźbłami słomy, wokół której trzepotały się gęste kłaki. Byłyśmy pokryte tym wszystkim, oddychając miałyśmy pełne nosy i usta. A kiedy wychodziłyśmy wieczorem, miałyśmy ręce i twarze niebieskie, czarne lub czerwone, zależnie od koloru obrabianego surowca. Codziennie musiałyśmy prać pończochy. Ale najbardziej przykre było wrażenie, które miałyśmy cały czas robiąc szybko ordynarne węzły, że wykonujemy brudną i partacką pracę, która nikomu na długo się nie przyda. Czy można wierzyć w to, by człowiek pogrążony w nędznym trudzie cewienia kawałków przędzy i wiązania ich myślał jeszcze o tworzeniu rzeczy trwałych, by mógł jeszcze odnaleźć radość w dobrze wykonywanej pracy, w robieniu rzeczy dobrych i pięknych?

Nollard i Lafaye badali naszą pracę z zegarkiem w ręku, aby ustalić wysokość wynagrodzenia.

Do fabryki sprowadzono nową maszynę. Piękny, zupełnie nowy warsztat; nigdy przedtem nieużywana maszyneria, cudo, sprowadzane najczęściej przy wielkim nakładzie kosztów z Niemiec lub Ameryki, które miało pozwolić na rekordową wydajność. Długo wyszukiwano najlepsze miejsce, przygotowywano betonową podstawę i na niej montowano maszynę. Inżynier przybyły z Niemiec, czy z Ameryki, aby uruchomić ten pierwszy model, od rana do nocy użerał się używając niezrozumiałych słów z naszym majstrem Coco „piękne oczko", z dyrektorami i fabrykantami. Trwało to trzy miesiące. Wreszcie wszystko było gotowe. Maszyna funkcjonowała tak, jak sobie tego życzono. Chodziło teraz o powierzenie jej w ręce jednej z robotnic i o ustalenie wynagrodzenia. W jaki sposób poznać wydajność maszyny? Według jakich stawek płacić robotnicy? Wzywano więc jedną z nas, na przykład Marthe Callain lub Ferdinande Speda, jedną z tych, które nazywano „trenerkami". „Trenerki" wskazywał fabrykantom majster Coco „piękne oczko". Znał wszystkie robotnice i spośród nich wybierał te, które były zręczne i trochę głupie, naiwne, którym pochlebiało odegranie tej roli, przy zupełnym braku odczucia tkwiącej w niej ohydy. Sadzano więc Marthe lub Ferdinande przy nowym warsztacie. Zbierali się wszyscy: wszyscy fabrykanci: p. Nollard i p. Lafaye; synowie: p. Jacques, p. Paul i p. Philippe, wnuki: p. Raoul i p. Charles — niemiecki inżynier, monterzy i mechanicy, dyrektor, Coco „piękne oczko", wszyscy, aż po Charlemagne naszego tragarza i nas, które z daleka z mieszaniną zaciekawienia i nieufności przyglądałyśmy się nowej maszynie. Wśród wrzasku niemieckich lub angielskich rozmów puszczano już w ruch. Chwilę obracała się próżno. Później mówiono robotnicy: jazda!

I wyciągano zegarki.

Robotnica siedząca przed tymi wszystkimi ważnymi ludźmi, którzy patrzyli na nią, starała się w swej głupiej próżności pracować jak najlepiej. Pracowała szybko, bardzo szybko. Za plecami podziwiał ją dyrektor. Coco „piękne oczko" popędzał, zachęcał, dodawał animuszu. P. Paul, p. Philippe mówili pochlebne słówka. I to odnosiło skutek: robotnica wytężała wszystkie swe siły przez zawzięciałość i próżność dla dziecinnej przyjemności usłyszenia komplementów. Pod koniec przedpołudnia dokonywała już cudów. „Oto co może dać nowa maszyna" — oświadczali dyrektorowi z kartką w ręku p. Nollard i p. Lafaye. — „Zgodnie z tym ustali pan wysokość stawek".

I w rezultacie byłyśmy zawiadamiane, że pracując przy nowych maszynach mamy wyprodukować w ciągu godziny tyle kilo materiału, ile „trenerka", aby w ciągu tygodnia dojść do sumy stu pięćdziesięciu franków.

Skoro w ten sposób ustalono już nasze zarobki, przez cały następny tydzień ciągnęły się reklamacje i kłótnie z majstrem i dyrektorem. Nikt bowiem nie zarabiał potrzebnej na życie sumy. Nikt nie pracował tak szybko jak Marthe. Tu nie chodziło o wysiłek jednego przedpołudnia, ale o sześć pełnych dni. A poza tym zdarzały się wypadki, których nie było podczas próby: głód, bole głowy, konieczność pójścia do ubikacji, ześlizgnięcie się pasa transmisyjnego, obsunięta cewka.

— Czego się skarżycie — ryczał Coco „piękne oczko". — Idźcie zobaczyć, czy Fernande Speda też nie dostała pełnej tygodniówki. Róbcie tak jak ona, to wszystko.

I przez cały dzień wokół naszych warsztatów odbywały się wyścigi, nieubłagane walki o szybkość. Przede wszystkim za każdym razem, gdy majster Coco „piękne oczko" przynosił skrzynię „dobrej roboty" — dobrej, łatwej do wykonania roboty — rozpoczynały się dzikie wyścigi. Porzucano maszyny, rzucano się przed siebie, popychając się wzajemnie, z rękami naprzód pogrążano się w skrzyni, aby napełnić fartuchy. Inne robotnice pochylały się z tyłu nad tymi, które dobiegły pierwsze, wspinały się na palce, wyciągały ramiona, zabierały im kłębki sprzed nosa, obładowywały się nimi tak, że odchodząc uginały się pod ich ciężarem. Jedna okradała drugą, wybuchały krzyki, protesty, kłótnie, niejednokrotnie i bójki. Wyrywano sobie kłębki nieco łatwiejsze do roboty i przedstawiające dla nas kilka centymów zarobku więcej. Wokół skrzyni rodził się szał i nieubłagana nienawiść. Przy następnym bowiem rozdaniu surowca mogłyśmy otrzymać skrzynie z trudniejszą robotą, z wełną nadjedzoną przez mole, z resztkami motków. A wszystkie te odpadki dostawały robotnice, które wyczerpawszy poprzednio otrzymany dobry surowiec musiały się znów w niego zaopatrywać. I dlatego otaczając Coco „piękne oczko" robiliśmy wrażenie ogarniętej szaleństwem bandy. Tylko gruba Izabella Speda, siostra „trenerki" Ferdinande, nic sobie z tego nie robiła i nie spieszyła się nigdy. Gardziła naszym popychającym się tłumem. Podczas pracy znajdowała czas, by usiąść i zjeść tartinki. I co pół godziny spokojnie, nie spiesząc się szła do ubikacji kołysząc swym szerokim zadem. Łączyły ją bowiem bliskie stosunki z Coco „piękne oczko". W niedzielę chodzili razem. Była zatem pewna, że cokolwiek by robiła, zawsze zarobi swą tygodniówkę. Wszystkie inne jednak pracowały jak w gorączce. Z fartuchem pełnym cewek chodziły wzdłuż warsztatów. Jeden kłębek przewinięty — zdejmuje się go z wrzeciona, nakłada drugi pełny i wiąże nić. I zno-

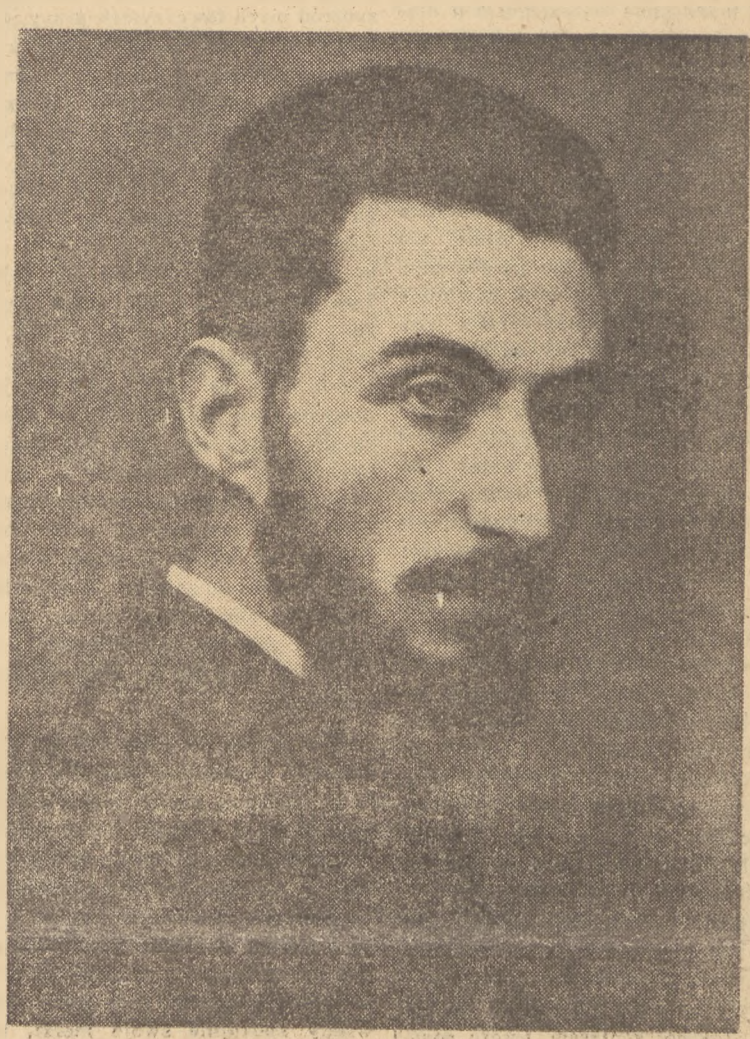

Maxence Van der Meersch

*) Fragment III rozdziału książki „Le Coeur Pur" Editions Albin Michel, Paris, 1948.

wu się zaczyna robotę kawałek dalej. Trzeba było uważać na nić, starano się zauważyć, kiedy na cewce pozostanie jej już tylko na jeden czy dwa obroty, by uchwycić ją w ruchu i nie być później zmuszonym przy wiązaniu do odszukiwania końca. Kiedy zaś była zła robota, co stanowiło regułę w fabryce Nollard-Lafaye, gdzie używano wszelkiego rodzaju świństw i odpadków — nić rwała się co chwilę. Cały dzień schodził wówczas na bieganiu od jednego końca warsztatu do drugiego, robiło się węzeł to tu, to tam, zatrzymywało maszynę i znowu wprawiało w ruch, szukało się na zjedzonym przez mole kłębki, gdzie u diabła może się kryć między kawałeczkami pociętej przędzy właściwy koniec nitki, ten, który trzeba związać. Nikt nie potrafi wyobrazić sobie kilometrów, które robiłyśmy aż do końca dnia nigdy nie siadając od rana do wieczora. Nie wolno nam było jeść. Zresztą my same nie chciałyśmy tracić czasu na jedzenie. Kładłyśmy więc na wpół zawinięte w papier tartinki na którymś z brzegów warsztatu. I za każdym razem, gdy robotnica pracując zbliżała się do tego miejsca, brała paczuszkę do ręki i odgryzała kawał chleba pokryty źdźbłami wełny i jadła przechodząc znowu wzdłuż warsztatu. Kawałki nici wypluwało się na ziemię. Sekunda, nawet czas krótszy od sekundy był nader cenny. Wszystko było wykalkulowane. Uczyłyśmy się wsuwać o kilka kłębków więcej do kieszeni fartuszka, pod gorset lub między fartuszek a sukienkę tuż ponad paskiem, uczyłyśmy się wiązać nici w ruchu nie zatrzymując nigdy maszyny, coraz szybciej robiłyśmy węzły. Aby zarobić dwie sekundy, aby warsztat kręcił się o kilka obrotów szybciej, żądano od Coco „piękne oczko", by naciągał pasy transmisyjne. Pięć obrotów więcej na minutę daje pod koniec dnia zysk kilku kilogramów. Przez długi czas nie znałam tej metody. Dopiero z czasem, bardzo powoli nauczyłam się zawodowych tajemnic, Coco „piękne oczko" nie lubił podciągania pasów transmisyjnych. Powoduje to wyskakiwanie łożysk i poza tym jest nudne. Nauczyłam się więc jednym uderzeniem pięści obsuwać w ruchu pas transmisyjny, powtarzałam to dwa, trzy, cztery razy po sobie. Zresztą... g....! — mówił. Coco „piękne oczko" poirytowany koniecznością ciągłego przychodzenia i umieszczania pasa na właściwym miejscu. Przecinał transmisję, skracał ją i napinał na nowo.

Nauczyłam się utrzymywać skórę pasa w lepkości przez obsypywanie jej sproszkowaną żywicą. Umiałam, nie zatrzymując maszyny, obskrobać zzewnątrz transmisję kawałkiem stalowego zgrzebła, tak aby znów była chropowata i przylegała jak należy. Nauczyłam się czyścić maszynę w biegu, gdyż za pracę tę nie płacono nam oddzielnie. Od czasu do czasu krzątając się tak przy wprawionym w ruch warsztacie ręka dostawała się między transmisję a koło pasowe. Czułam się schwytana, ręka wyginała się, wchodziła w głąb jak strzała. I ledwie miałam czas oprzeć się, skupić w ręce całą swą siłę, błyskawicznie stawić opór wszechpotężnej sile wciągającej mnie maszyny. Musiałam uchwycić właściwy moment, by jednym mocnym uderzeniem wolnego ramienia wybić transmisję z łożyska. Wyciągałam dłoń z uchwytu maszyny, dziwaczną dłoń: wydłużoną, spłaszczoną, zupełnie siną, bezkrwistą, martwą. Siadałam na jednej ze skrzyń. Drżałam, musiałam płakać przez chwilę.

Później zaczynałam w ręce odczuwać kłucie, napływała krew, mogłam już poruszać dłonią i wrócić do pracy. Często w ciągu następnych dni paznokcie czerniały, odpadały.

Trzeba pracować przy maszynie, walczyć z nią, nazwę to tak, twarzą w twarz, aby poznać przeraźliwą potęgę narzędzia, którego cała nasza energia, cała rozpaczliwie wytężona siła nie zmusi do zwolnienia o jeden bodaj obrót; aby poznać siłę maszyny, która wciąga cię z zawsze tą samą bezlitosną i regularną obojętnością.

Zdarzało się też, że tę czy inną spośród mych towarzyszek pracy maszyna schwyciła za spód zbyt szerokiej spódnicy, mankiet lub włosy. Pracowała pomiędzy nami czterdziestoletnia kobieta, która w ten właśnie sposób została schwytana za włosy w czasie czyszczenia będącego w ruchu warsztatu. Została oskalpowana. Razem z włosami cała skóra czaszki zwinęła się wokół koła pasowego. Odtąd nosiła perukę. Mówiono, że był to dowód litości fabrykantów. I sądzę, że w istocie była to litość, gdyż — jak dowiedziałem się później — towarzystwa ubezpieczeniowe nie uznają „przesądów estetycznych". Zniekształcona robotnica, robotnica z wybitymi z przodu zębami — nie obniża swej wydajności w pracy, nie ma więc powodu do zażaleń Trzeba być bogatym, aby wasza uroda, wasze włosy i zęby nabrały znaczenia.. U robotnicy wszystko to się po prostu nie liczy.

Kilkakrotnie dawano nam do pracy motki z nawiniętą przędzą. Trwało to miesiące, zanim nauczyłam się je przewijać. Moje motki plątały się, gmatwały, tworzyły sploty nici nie do rozwiązania. Nie posuwałam się naprzód, ze zdenerwowania i lęku dochodziłam do szaleństwa. Płakałam ze zmęczenia i wściekłości. Moje sąsiadki zaś tuż obok mnie przewijały spokojnie swoje motki, tak jakby się bawiły, tylko od czasu do czasu rzucały w moją stronę krótkie, ironiczne spojrzenie. I nagle zupełnie przypadkowo zorientowałam się pewnego dnia, że gładząc przędzę trzeba potrzeć ją o kawałek parafiny, która natłuszcza nić i uniemożliwia jej splątanie się z pozostałymi. Nagle dzięki przypadkowi dowiedziałam się, że trzeba szeroko otwierać epuratory, jeśli się chce, by nić nie rwała się zbyt często. Lecz zanim odkryłam dla siebie te wszystkie drobne sposoby, przeżyłam godziny, których wspomnienie pozostało we mnie niby straszliwy sen: wspomnienie chwil, gdy znajdowałam się u kresu sił, gdy dla dopełnienia nieszczęść dostawałam zły surowiec i czułam, że nie wyrobię tygodniówki. Pozwoliłam się wyprzedzić wszystkim innym, pozwoliłam zaopatrzyć się im w całą „dobrą robotę", jaka była w skrzyniach. Dla mnie pozostały tylko wybierki, „ścinki", kłębki ogołocone w trzech czwartych, które przewijało się w ciągu 10 sekund, kt[illegible] trzeba było co chwilę zmieniać, a pogryziona przez mole nić rwała się bez przerwy. Nic nie szło naprzód. O tej porze, aby wyrobić tygodniówkę, powinnam była mieć ukończone nawijanie dziesiątej osnowy. A byłam dopiero przy siódmej. Co powie matka? Szalałam. Porwałam nici, chowałam nadwyrężone przez mole kłębki lub też robiłam „nawalankę" — zdejmowałam jednym ruchem resztę wełny z motka i biegłam wyrzucić to wszystko do ubikacji. Było to jednak niebezpieczne. Coco „piękne oczko" śledził mnie i gdybym została przyłapana, groziło mi wyrzucenie za bramę. Wreszcie dochodziłam do kresu, płakałam przy moim wyłączonym warsztacie i już do wieczora nic właściwie nie robiłam psując sobie tylko do reszty opinię.

Przerażające były tę poranki i popołudnia wściekłość i rozpacz przy stojącym w bezruchu warsztacie, praca, która nie chciała posuwać się naprzód i tygodniówka wyślizgująca się z palców naprzekór walkom, wysiłkom i wściekłej zaciekłości. Jest to jeden z najbardziej ponurych koszmarów, jaki jeszcze teraz zdarza mi się niekiedy w nocy przeżywać.

Czułam dobrze, że w fabryce zawsze będą zwyciężona, że należę do tych, które skazane są z góry. Zbyt wiele dumy, zbyt wiele miłości samego siebie. Nie wszyscy są zdolni bić się jak psy wokół skrzyń, by wyrwać innym z rąk trochę dobrej roboty. Nie wszyscy są zdolni przyjmować ordynarnym śmiechem plugawe żarty majstra, by mu się przypodobać. I nie wszyscy potrafią nie ruszywszy ręką pozostawić cierpieniu nieszczęśliwą, która dostała „złą robotę" i nie wykonuje jej, ponieważ jest u kresu sił, nieszczęśliwą, która nie wyrobi tygodniówki. I nie wszyscy umieją pasjonować się i wkładać całą swą duszę, całą miłość własną, wszystkie racje swego życia w kawałek nici, którą trzeba wiązać codziennie szybciej, szybciej niż sąsiadka, szybciej niż wszystkie inne, tak aby w końcu zarabiać więcej niż one, aby kraść im ich kawałek chleba.

Były takie, które pasjonowały się tą walką. Marthe Callain, „trenerka", nie widziała niczego poza nią. Jedynym celem jej istnienia było pragnienie, by nie dać się wyprzedzić małej Ferdinande Speda. Już o świcie zaczynał się między nimi wyścig, mecz.

I w takich chwilach można było skonać u boku Marthe Callain. Tym gorzej, jeśli inne nie mogły za nią nadążyć. Tym gorzej, jeśli w związku z jej wydajnością stawki miały być zniżone, a nasze zarobki zmniejszyć się. Tym gorzej, jeśli sąsiadka Marthe, słabowita Henriette, siadała na skrzyni płacząc ze zdenerwowania i wyczerpania. Tamta nawet na nią nie spojrzała. Przyjaciółka moja, mała kulejąca Emerance, Cecile — rudzielec i Paulette Ilerman, które nie były chodzącymi cnotami, a których Marthe nienawidziła, niejednokrotnie odchodziły od swych warsztatów, szły pracować przez pięć minut obok Helony, by posunąć naprzód jej robotę. Ale tej litości nie można było wymagać od Marthe. Nawet w stounku do mnie była nieubłagana, skoro chodziło o pracę. A przecież nie mogła się na mnie skarżyć. [illegible]ynosiłam kawałki wstążki dla jej trzyletniej córeczki. Marthe musiała ją oddać na wychowanie do Belgii. Pracowała przez cały tydzień, a w niedzielę odwiedzała dziecko. A ponieważ nie umiała szyć, kilka razy dawała mi wełniany materiał, bym jej sfastrygowała sukieneczkę. Na swój sposób była mi wdzięczna, lubiła mnie — tego jestem pewna. Ale zapominała o wszystkim, skoro chodziło o zarobek. Za wszelką cenę musiałam zarabiać mniej od niej. Biedna, godna pożałowania próżność istoty, której całe życie, wszystkie ideały i myśli ściśnięto między czterema murami fabryki.

A w piątek w południe, kiedy odbierałyśmy wypłatę, następował dopiero wybuch nienawiści. O dziesiątej rano Coco „piękne oczko" oddawał nam baste książki wypłat. Chwytałyśmy i szybko, każda w swoim kącie otwierałyśmy. I teraz jedna z nas miała okazję wydawać najgłośniejszy, najradośniejszy krzyk, który napawał podziwem pozostałe i wprawiał we wściekłość. Później zjawiał się płatniczy. Urządzał się w kącie hali, siadał, otwierał książki i wywoływał nazwiska. Żadna nie chciała podejść pierwsza, każda chciała być następną. Jedna kończyła cewienie, druga znalazła jakąś usterkę w swoim warsztacie. Płatniczy wywoływał je, w końcu wpadał w gniew.

— Przyjdziecie wy tu — tak czy — g....! Mam tego dosyć, wytykam stąd.

Trzeba więc było podbiec. Mniej zuchwała decydowała się i podchodziła pierwsza. Tuż za nią szła rywalka i patrzała na zarobek przeciwniczki. Jeśli uważała się za pokrzywdzoną, natychmiast wybuchała kłótnia.

— Dobra, dobra — krzyczał wyczerpany płatniczy. — Ubierajcie się i zostawcie mnie w spokoju.

Popychając kierował je do szatni.

— Dobrze — mówiły — jeszcze zobaczymy.

I w chwilę później po wyjściu z fabryki zaraz za bramą wśród rotnic, które ściągnęła zachęcająca perspektywa awantury, kłótnia kończyła się wzajemnym policzkowaniem, a niekiedy po prostu bójką.

Fabryce zależało na „trenerkach" — wszytko było im więc dozwolone. Jeśli chodziło o nie, majster i dyrektor nie dostrzegali niczego. Dla nich najlepsza robota, dla nich dobra przędza. I nawet jeśli przypadkowo wydajność ich zmniejszała się, jeśli dla fantazji przez cały dzień śmiały się tylko i dowcipkowały — i tak były pewne, że wyrobią tygodniówkę. „Trenerki" korzystały z tysiąca drobnych przywilejów.

A nawet gdy przypadkowo sabotowały jakąś niewygodną im pracę, byle tylko szybciej skończyć, przymykano na to oczy. Ileż razy widziałam, jak Marthe Callain przy cewiarce zamiast robić węzły, lepi po prostu nici zwilżywszy je uprzednio szybkim ruchem języka.

Przy pracy nieraz dotrzymywałam Marcie kroku, osnowa po osnowie. Trzymałam się jej przez cały tydzień, oceniałam to, co zrobiłam. według jej pracy i byłam pewna. że w piątek złożę tę samą ilość, a może kilka kilo więcej. Ale w piątek w południe przy wypłacie otrzymywałam znowu mniej pieniędzy. Coco „piękne oczko" prowadził swe rachunki w sposób tak tajemniczy, nikt nigdy nie mógł nawet do nich zerknąć. Zgadzano się wreszcie z faktem zarabiania zawsze trochę mniej od „trenerek" i nienawidzono ich nieprawdopodobną nienawiścią.

Dlatego właśnie, nie z lenistwa, znienawidziłyśmy w końcu szybką pracę, wydajność i wysilek, a także i robotnicę, która ich dostarczała, robotnicę partaczącą zawód, „zakałę fachu", której gorliwość przynosiła nam w ostatecznym wyniku zwiększony trud za zmniejszone wynagrodzenie. Mówi się często o niemoralności, o próżniactwie robotnika. Gdyby zrozumiano, jak dalece czułyśmy się odepchnięte od zarobku, pozbawione wszelkiego zainteresowania i wszelkiej korzyści z lepiej wykonywanej pracy — mianoby dla nas więcej wyrozumiałości. Wszystko działo się tak, jak gdyby fabrykanci powiedzieli nam robotnicom:

Będziesz zawsze pobierać to samo wynagrodzenie. Ogólna korzyść z maszyn, korzyść z postępu techniki — wszystko to będzie dla mnie. W ten sposób nigdy nie zarabiałyśmy ponad maximum uznane przez fabrykantów za wystarczające dla nas na życie i jedzenie. Nawet gdyby jakimś niemożliwym trafem ich inżynier wynalazł maszynę, kosztującą śmieszne grosze, a pozwalającą osiągnąć sto razy większa wydajność, ustalonoby nasz zarobek według tego maximum wynoszącego około stu osiemdziesięciu franków tygodniowo. Reszta zaś nie obchodziłaby nas.

A my, robotnicy, zrozumieliśmy w końcu, jak dalece nasz wysiłek obraca się przeciw nam samym, zrozumieliśmy, że nasza wydajność służy tylko dla umotywowania żądań jeszcze wyższej wydajności i dlatego, jeśli tylko możemy, hamujemy lub ukrywamy naszą produkcję. I tak w szeregu fabryk w porozumieniu z majstrem układamy się, by nie wyrabiać ponad dwieście franków tygodniowo. Przechodząc ponad tę sumę ściągamy na siebie — wiemy to dobrze — uwagę dyrektorów: uważają, że to, co wytwarzaliśmy, płacone było według zbyt wysokich stawek. I wynagrodzenie od sztuki zostanie obniżone. A w sobotę, kiedy uważaliśmy, że wyprodukowaliśmy za dużo, kładliśmy wykończony towar do koszyka i rezerwę tę kryliśmy pod warsztatami, by oddać je majstrowi dopiero w początkach następnego tygodnia. Właściwie były to jeszcze dobre fabryki. U Nollard i Lafaye nie mogłoby się to zdarzyć. Tam nie grzeszono nigdy nadmiarem zarobków.

Lecz tak, jak nie braliśmy udziału w zyskach, mieliśmy go, gdy chodziło o straty. Kiedy praca rzeczywiście była ciężka, kiedy nikt nie wyrabiał tygodniówki, majster rozdzielał ją pomiędzy wszystkie. Przypuszczam, że na każdą przypadało trzydzieści wrzecion.

— Każda trzy wrzeciona złej przędzy — oznajmiał Coco „piękne oczko". Dawało to trzydzieści wrzecion, trzy, które nie przynosiły nic, co najmniej 10% pod koniec tygodnia.

— Odbijecie to sobie następnym razem — mówił Coco „piękne oczko" — potem będzie dobra robota.

I to była prawda. Jednak ażeby odbić to sobie, trzeba było pracować później podwójnie.

Kilka razy mówiłam sobie z przerażeniem, że całe moje życie, całe życie minie tutaj, przejdzie ot tak sobie, że całe moje istnienie przepędzę w fabryce i nigdy nie zobaczę ani kawałka świata, że nie ujrzę poza fabryką niczego z piękna, która jest na ziemi. Unikałam tych myśli. napawały mnie obrzydzeniem. Z przestrachem patrzałam na otaczające mnie towarzyszki pracy. I powiedzcie, że takie jest ich przeznaczenie, przeznaczenie jucznych zwierząt! Za dwadzieścia lat Marthe Collain, która była ambitna, zbierze sobie zapewne tyle, by otworzyć mały sklepik. A wszystkie inne! Aż do śmierci cewienie i Nollard-Lafaye. Nawet dla starych kobiet, które zniszczywszy swe życie u Nollard-Lafaye nie potrafią już wziąć się do czegoś innego ani gdzie indziej że jest jeszcze miejsce w fabryce. Wyśmiewano je, wyśmiewano ich przywiązanie do murów, maszyn, nazywano „starymi fabrycznymi szczurami". Ale jeszcze znajdowała się dla nich robota. Aż do śmierci! Jedną z nich postawiono przy lekkim ręcznym warsztacie — przygotowywała próbki. Inna przewijała pogryzioną przez mole przędzę, do której nie miały cierpliwości młode robotnice. Matka Cecile-rudzielca, siedemdziesięciodwuletnia, ledwie mogąca chodzić, tak długo, póki nie stanie się zupełnie niedołężna, będzie przychodzić razem z nami otwierać fabrykę. Starowina będzie rozplątywała skłębione motki i zarabiała na życie przy swym małym warsztacie.

Nie wolno było nam odzywać się do fabrykantów. Zażalenia mogły być składane majstrowi, co najwyżej dyrektorowi, który przekazywał je lub najczęściej nie przekazywał i decydował sam.

(dokończenie na str. 12-tej).

POPIERAJCIE

Katolicki Uniwersytet Lubelski

Zbigniew Kubikowski

SPRAWA JAŚKA BROWARCZUKA

Celem powieści jest pokazanie konfliktów, które wypływały ze skomplikowanej struktury klasowej małego miasteczka, a narastając na wielu płaszczyznach, prowadziły nieraz do zatracenia granic, przyporządkowanych obowiązkom ludzkim, granic, szczególnie ostro występujących w latach wojny.

Rzecz dzieje się w sierpniu 1943 r Koło małego miasteczka leży cukrownia, łącząca się z miastem wsią. Plutonem młodych chłopców dowodzi Jerzy Żarski, który z ojcem i starą ciotką mieszka w osadzie fabrycznej. Członkowie grupy Jerzego to: jego zastępca i najserdeczniejszy przyjaciel, Edek Dembiński, rodzeństwo Marian i Wanda Wilczkowie, Karolko, Wacek, Witek Koszyna, Janek, zwany Ryżym, Rysiek Kitowicz, a między innymi także i Jasiek Browarczuk, syn właścicielki baru w mieście. Ów Jasiek, zainteresowany Krystyną Letzką, córką odstępcy, kierownika miejscowego Arbeitsamtu, odsuwa się nieco od grupy Jerzego. Chcąc jednak zamanifestować swoją lojalność, sprzedaje Jerzemu wiadomość o proponowanej przez Letzkego łapance. Zdobycie tych wiadomości dla Jaśka, pracującego w Arbeitsamcie, nie było zresztą trudne. Łapanka odbywa się, Letzky zostaje skazany na plagi, wykonanie wyroku zlecono grupie Jerzego, który zapowiada akcję na niedzielny wieczór, tuż po przyjęciu w domu Letzkiego.

Wspomnieć jeszcze należy o Dorocie Kozińskiej, która z rodzicami przyjechała niedawno do cukrowni i o Ryśku Kitowiczu, zazdrosnym o Krystynę.

Jest niedzielne popołudnie. Na miejsce zbiórki przed akcją zostaje wybrany położony nieco za miastem domek Mariana Wilczka.

**

PRÓBY SIŁ

Około południa niebo zaciągnęło się strzępiastymi obłokami, nad osadą rozlała się przytłaczająca duszność i powiał porywisty wiatr. Zaszumiały drzewa i krzaki, ołowiane chmury zlewały się z sobą i rosły w masę ciężką, niską i nawisłą. Pierwsze krople, ściekające po szybach, były jakby tłuste i oślizgłe. Potem połączone w pluskające strumienie zaczęły bębnić po dachach, oknach i drzewach, a rozdmuchiwane przez wiatr osiadały wachlarzem na murach domów.

Jerzy siedział wtulony w fotel i patrzył w deszcz. W kuchni brzęczały muchy i panoszył się kot, roztrącając garnki i naczynia.

Szczęknął, zachrobotał zegar, wiszący nad głową Jerzego, wybił czwartą. Jerzy przetarł oczy.

Usnął w fotelu, skulony, z przekrzywioną książką w ręku.

Krystyna zatrzasnęła znudzona wieko fortepianu i stanęła przy oknie, za którym szumiał deszcz. Trzaskały drzwi, nakrywano do stołu w dużym pokoju na froncie, rozkładano papierosy i karafki.

W przedpokoju krótko brzęknął dzwonek. Odwróciła się i poszła. Jasiek ściągał z siebie opływającą wodą pelerynę i szurał butami po wycieraczce.

— Spóźniłeś się.

Otworzyła wąskie, białe drzwi i weszła do swojego pokoju. Jasiek wsunął się za nią i zanim jeszcze zdążyła się odwrócić, chwycił ją w objęcia. Głos Letzkiego zgrzytnął nagle gdzieś blisko, odskoczyli od siebie i usiedli.

— Myślałem, że zaraz przestanie padać... — powiedział.

— Nie zaraz... Zresztą dzisiaj i tak nie pójdziemy na stawy.

— Jeszcze wieczorem może być ładnie, a woda po deszczu cieplejsza, no nie wiesz? — zaniepokoił się.

— Tak, ale mówiłam ci już, że u nas dzisiaj przyjęcie. Będzie landkomisarz, oficerowie, urzędnicy. Ja muszę być. Ojciec chciał zaprosić także ciebie, ale powiedziałam, że i tak przyjdziesz, to od razu zostaniesz.

— Przecież miałaś się wyrwać...

— Nie można, ojciec nie chce słyszeć. Zresztą zobaczysz, że będzie przyjemnie.

(Jasiek nie był zadowolony. Nie lubił towarzystwa, w którym trzeba było podciągać się ponad zwyczajną normę, i to tak sprawnie, żeby nie stracić przez porównanie z innymi. Wprawdzie nie stanowiło to już dla niego takiego problemu, jak kilka lat temu, kiedy albo starał się za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę i kompromitował się zupełnie, albo arogancko milczał. Tylko te dawniejsze lata zostawiły jakiś uraz który go często ścigał, mimo, że nie miał już racji bytu).

Jasiek był więc niezadowolony i zakłopotany. Krystyna inaczej zrozumiała jego milczenie.

— Potem się wszystko rozkręci — szepnęła — wyjdziemy na ogród i będziemy się gubić...

— I co z tego gubienia... — wylazła z niego prawdziwa intencja, zanim się zdążył pohamować.

Patrzyła zdziwiona.

— Jakto co?

Zrozumiał, że coś palnął i przysunął się do niej. Położyła mu palec na ustach i wstała. Usiedli na niskiej kanapie pod oknem. Jasiek odsunął niecierpliwie firankę i pół leżąc przygarnął do siebie Krystynę.

— Pierwszy dzwonek zabrzęczał u drzwi po jakiejś pół godzinie. Do ciszy pokoju wsiąkł pogwar kilku głosów, wibrujący po schodach, szybkie kroki Letzkiego i szmer łańcucha.

Jasiek i Krystyna już stali daleko od siebie. Ona poprawiała sobie włosy przed lustrem, on przed tym samym lustrem czesał się dużym, twardym grzebieniem.

— Zaraz musimy tam pójść? — pytał.

— Zaraz.

— A kiedy można będzie wyjść do ogrodu?

— Aż po kolacji, gdzieś pod wieczór.

— Mamo ridna poratuj...

— Co się boisz? — roześmiała się — zobaczysz, że będzie wesoło.

— Wesoło, cholera — mruknął bez przekonania.

Krystyna zniecierpliwiła się.

— Czego ty właściwie chcesz?

Wetknęła we włosy ostatnią szpilkę i odwróciła się.

— To ty czegoś chcesz...

— Ja czegoś chcę od ciebie? No wiesz, że to naprawdę...

— Ale! — i już chciał coś palnąć po swojemu, kiedy nagle szczęknęły drzwi i Letzky wsadził głowę przez szparę.

— Chodźcie już.

Kiwnął głową na ukłon Jaśka i powiedział cicho do Krystyny:

— Pytają się o ciebie.

— A kto jest?

— Zobaczysz, chodźcie.

Cofnął się.

Krystyna, nucąc, podbiegła do komody, wyciągnęła czystą chusteczkę, pocałowała Jaśka i poszli razem.

Marian Wilczek mieszkał z siostrą i matką w małym domku z sadem, na wsi, nieco dalej za barem Browarczukowej. Oboje młodzi pracowali, matka handlowała i życie płynęłoby im nienajgorzej, gdyby nie przykre sąsiedztwo. Wilczkowa stale była w rozjazdach, więc i w przejaśnione, niedzielne popołudnie Marian i Wanda siedzieli sami w pokoju przy kuchni, z prawej strony domu.

Czytali, ale co chwila spoglądał na zegarek, szczękający na kredensie, nadsłuchiwali, czy nie skrzypi stara, na pół rozwalona brama

Przez małe okno ciemnego pokoju widać było podwórko, rzadko zabrukowane półokrągłymi kamieniami, z pomiędzy których wyrastały bujne chwasty, operlone teraz resztkami deszczu i mieniące się w słońcu. Za podwórkiem czerniała stara, omszała szopka na narzędzia, za nią rozrastał się sad.

— Wiesz ty co, Wanda — odezwał się Marian, odkładając książkę — myślę, że oni przed wieczorem nie przyjdą.

Siedział na skrzypiącym krześle koło stołu. Wanda leżała pod oknem na łóżku, przykrytym kocem, oparta na łokciach, z pięściami pod brodą. Nogi założyła na niską, żelazną poręcz. Co chwila zsuwała jej się z poduszki książka.

— Przecie mogą od pola.

— Wszyscy od pola nie przyjdą. Jerzy dokładnie powyznaczał.

Wanda zdenerwowana pocierała policzek.

— Nie wiem, jak on to sobie w ogóle wyobraża — powiedziała — przecie mogą was poznać.

— Jerzy to ryzykant, ale jeszcze nigdy nie skrewił — bronił się Marian — wczoraj nam dokładnie narysował plan domu i nasze pozycje a resztę miał powiedzieć dzisiaj Ja jestem zupełnie spokojny — dodał zapalając papierosa.

Zamilkli. Czas biegł. Wanda wyciągnęła się na łóżku i przecierała oczy.

— Zostało co z obiadu? — zapytał Marian.

— W piecyku, w kuchni. Chyba jeszcze ciepłe, chcesz, to weź — ziewnęła.

Dopiero około piątej posłyszeli stukanie do drzwi wejściowych. Marian wychylił się do ciemnawej sionki i zawołał:

— Drzwi otwarte, naciśnijcie silniej klamkę!

Weszli Wacek i Ryży. Pewnie gdzieś złapał ich przelotny deszcz, bo mieli mokre włosy i podniesione kołnierzyki od marynarek.

— Wytrzyjcie buty w sionce!

Wanda usiadła na łóżku, upinała włosy, bose nogi wsunęła w pantofle, obszyte białym futerkiem Przeciągnęła się i wstała.

Wacek i Ryży usiedli na otomanie, Marian poczęstował ich papierosami.

— Zapowiada się bycza pogoda, nie?

— Jakby specjalnie dla nas!

Wanda wyciągała z kredensu jakieś kruche ciastka.

— Kiedy będzie Jerzy?

Tadeusz Chrzanowski

WIERSZE LUBELSKIE

SPOJRZENIE PIERWSZE.

Tyle wiosny z ptasim powrotem,
tyle mleka pączkom, plam biedronce.
Już nastroszył się las szepcząc plotkę —
już w czerwonych wiklach ćwierka słońce.

Czarne błoto otwarło czeluście,
pochłonęło lepkim trudem śpieszne kroki.
Wrony wrzeszczały widnokręgom:
„Wypuśćcie
soczyste, poranne obłoki!"

A na progu kuchennym wśród upadłych piór
mądrość spojrzała wzrokiem szczenięcym.
Zasępiło się czoło nad gdakaniem kur,
i z powiewem uszły myśli...
i nic więcej...

SPOJRZENIE DRUGIE.

Ponad domem dymu dyszel —
wyżej obłok —
siwy zaprzęg.

Gdzieś wyjechał mój woźnico?
Skąd to?

A najjaśniej, a najwyżej
słoneczne chomąto.

W szum listowia kół twych dzwona,
w okno promień białych szprych

Zaciął wiatr i ponad klonem
bicz
ścichł.

Wiezie domu jasny wóz
i obłoku gniady zaprzęg
ziemię suszy—
ziemię burz —

zawsze.

SPOJRZENIE TRZECIE.

Co dzień trzeba wyjść na próg,
który śniegiem nowym chrzęści.
Co dzień trzeba nowy ślad
zapisywać po obejściu.

Co dzień trzeba długo słuchać
przechodzących sadem nocy —
to sikorki które śpią,
tak jak zwykle ale mocniej.
Płóz i wichru ostry świst —
koński zad kołysze drogę.

Poprzez czas ten można iść,
jak przez wrota otworzone.
Kuli się i kurczy świat,
sosny otwierają sęki —
i znów długi, długi wiatr
chmury w drobne skrawki strzępi.

A z tym śniegiem sypie zmierzch,
dzień zachodzi w szarą kulę.
I już musisz lampki strzec
bo filuje.

Codzień trzeba długo słuchać
jak narasta w ścianach mróz,
i jak śnieg buduje próg —
i jak mróz u brzegu snu...

SPOJRZENIE CZWARTE.

To słońca dźwięk po wodzie prysł —
to lot jaskółczy.
Chodzisz i myślisz. Z tobą się włóczy
fujarki pisk.

Przysiądziesz w rowie, staniesz na miedzy,
a chmury i ptaki w locie.
Gdzieś kuropatwa z gromadką pociech
w łagodnej wiedzy.

Tybyś się uczył od kuropatwy —
tybyś się uczył od chmur —
lecz tobie w głowie fujarczy wtór
myśli pogmatwał.

Tybyś się uczył... — lecz tobie burze
i patos i głośna pieśń!
A trzeba życie przezornie nieść —
a trzeba życie... ujrzeć.

SPOJRZENIE PIĄTE I OSTATNIE.

Przez gałęzie, przez zielone żaluzje
zaglądałem tam skąd odeszłem.
Powracały romantyczne wiersze,
ale ja już naprawdę odeszłem
i powrotu broniły gałęzie.

Przez gałęzie i przez konstelacje,
przez gadulstwo atramentów zżółkłych,
przez złe wiersze — zapomniane choć własne.
nie wróciłem.
I zwiędły wakacje
jak litery atramentów zżółkłych.

Ale po co wciąż tylko o sobie?
Po co z serca te prywatne żużle?
Lepiej liśćmi przysłonić opowieść
i zapuścić szumiące żaluzje.

— Mają przyjść z Edkiem przez pola — odpowiedział Wacek — ale jeszcze przedtem Karolko.

— I nikt wiecej?

— Tylko nasza paczka. Wiecie. Witek źle się czuł i Jerzy powiedział, żeby nie przychodził.

— No, no. A nie wiecie jak to ma być?

Wacek, zadowolony, że coś wie, przygładził ręką włosy. W ogóle te ręce ciągle były w ruchu: albo je wsadzał do kieszeni, albo chwytał się za głowę, albo gestykulował.

— Będziemy odstawiać partyzantów — zniżył głos.

Marian trzepnął Ryżego po kolanach.

— A co, nie mówiłem? — zwrócił się do Wandy — pierwszorzędny pomysł.

— To po to te peleryny z kapturami — domyśliła się.

— Pewnie, że po to!

— A skąd ty Wacek o tym wiesz?

— Jerzy mi mówił. Spotkali my go z Ryżym jak wracał ze stawów z Kozińską.

Wanda popatrzyła krótko na Wacka i spuściła oczy. Zapytała:

— Z tą nową?

— Tak. będzie pracować z wami w biurze. Ale że fajna dziewczynka, to fajna.

— Prawda — przyznał Marian — niech się schowa Krzyśka Letzka...

Wanda wstała i wyszła do kuchni Ryży popatrzył na Mariana.

— Co ty glendzisz — mruknął — wiesz, że Wanda tego... w Jerzym...

— Iii — skrzywił się Marian — zawsze jej mówiłem, żeby dała spokój, bo nic z tego nie będzie.

— Czego chcesz, Wanda to także równa dziewczyna...

Weszła, więc przerwali. Po chwili przyszedł Karolko. Przywitali się hałaśliwie. Wanda miała nienaturalne wypieki na twarzy, rozmawiała żywo.

Po siódmej skrzypnęły drzwi, Marian wybiegł do sionki. Jerzy i Edek ściągali z siebie krótkie peleryny, mówili coś. Marian potknął się o drewnianą, porozsychaną balijkę.

— Serwus. Jak, będzie lało wieczorem?

— Serwus Marian. Powinno lać.

— Właźcie.

Wanda była w kuchni, zdejmowała z płyty buchający parą czajnik i zaparzała herbatę.

Jerzy zamienił tylko parę słów z Karolkiem i Wackiem, potem wszedł za nią.

— Dzień dobry. Może ci pomóc?

Odwróciła się zaskoczona z imbrykiem w jednej ręce, z metalową puszką na herbatę w drugiej. Wacek, niby niechcący, zamknął drzwi od pokoju.

— Jak się masz. Możesz wyciągnąć filiżanki z szafki.

— Nudziłaś się? Chciałem przyjść grubo wcześniej, gdzieś koło czwartej, ale zdrzemnąłem się na fotelu i dopiero Edek mnie zbudził. Też się spóźnił.

— Czytałam trochę. Ale jeszcze macie czas, prawda? Powlewaj esencję, o, stąd. Już się zaparzyła.

— Będziemy jeszcze z dwie godziny, rozruszamy się trochę, zobaczysz.

Schylili się nad białym kuchennym stołem, Jerzy z imbrykiem w ręku, Wanda z rozgrzanym czajnikiem. Ich głowy zetknęły się przypadkowo. Jerzy się cofnął i odstawił imbryk na płytę.

— Można już zanieść?

— Zaczekaj chwilę... o już. Weź cukier.

Marian otworzył drzwi i stanął na progu.

— Dobrze, że jesteś — uśmiechnął się Jerzy — pomożesz.

Wanda nie mówiła nic.

W pokoju pełno było dymu papierosowego i coraz gwarniej.

— Wiesz, Jerzy — powiedział Edek, słodząc sobie herbatę — Karolko mówi, że widział dzisiaj rano Jaśka z Ryśkiem, szli jak najlepsi przyjaciele.

Popatrzyli na siebie.

— Można się było spodziewać. Rysiek, jak wczoraj wyleciał od Witka, zawędrował aż do miasta, spotkał się z Krzyśką i Jaśkiem i poszli do kina.

— Ale wracali osobno — odezwał się Ryży. — Rysiek nawet oglądał się za nimi, ale oni uciekli przodem.

— Nie siedzieli razem?

— Nie, Rysiek kupił bilet w ostatniej chwili, rozumiesz...

— Ale Rysiek dobił się Krzyśki — rzekł Ryży. W ogóle odzywał się rzadko. — Tak chodzą przez parę dni, że aż...

— To było do przewidzenia...

Wanda usiadła przy Jerzym. Uśmiechnęli się do siebie.

Marian wyglądnął oknem i powiedział:

— Wiecie co? Znowu idą chmury. jak cholera.

— Mówiłem, że będzie lało.

— Która?

— Trzy na ósmą. Mamy jeszcze kupę czasu. Chodź, Edward, trzeba wykończyć plan. Wandziu. masz kawałek papieru? Narysuję jeszcze raz.

Edek przysiadł się do Jerzego i powiedział:

— Musimy skończyć z tym szybko i z godzinkę się pobawić.

— Boisz się o nerwy? — roześmiał się Jerzy.

— Wiesz, że nie o swoje, ani twoje.

— Masz rację.

Rzeczywiście na niektórych twarzach widać było zdenerwowanie. Wanda przyniosła arkusz białego papieru i uklękła na kanapie za Jerzym, opierając brode na jego ramieniu.

Słońce zaczęło błyskać krwawymi refleksami na szybach i ścianach. Ptaki w sadzie rozćwierkały się chórem. Był spokojny. różowy, podeszczowy zachód. Zapadał mrok, a od północy chmury łączyły się i ciągnęły nawisłą, ciemniejącą ławą. Szczekały psy.

Na zielonych, oroszonych deszczém trawnikach poprzysiadały pucołowate drzewka. Lekki wiatr szeleścił w żywopłotach, za to górą wiał silny, porywisty i rozciągał białe chmury w przejrzystą przędzę, żeby w końcu zsunąć ją gdzieś za dachy domów, zwinąć i wywiać poza horyzont.

Kąty, zarośnięte gęsto, zaczynały szarzeć ' przysuwać się coraz bliżej, niczym olbrzymie, ciemne żółwie. Za dwoma kasztanami, rosnącymi od ulicy, jak olbrzymie palce rozczapierzyły się różowawo-czerwone smugi zachodzącego słońca.

Jasiek potarł czoło i wstał z niskiej, kamiennej ławki. Jeszcze raz spojrzał przez szparę między dwoma drzewami na szeroki taras.

Błyskały słomkowe kapelusze kobiet, słychać było gwar, wzbierający i opadający. Ale Krystyny mięrzy pstrą grupką nie było

Zagryzł wargi. wsadził ręce w kieszenie spodni i poszedł ścieżką. Na małej ławeczce w głębi krzaków siedziała przytulona parka. Jasiek przyśpieszył kroku. Splunął. na rogu przystanął nagle, ale się nie cofnał.

Zobaczył Krystyne. Stała odwrócona do niego plecami, rozmawiała z wysokim, szczupłym oficerem niemieckim. Coś mówił szybko, potem ją objął w pół. Jasiek odwrócił się i poszedł z powrotem. Nie myślał o niczym, przełknął kilka razy głośno ślinę. Przystanął pod omszonym pniem dębu, oparł się, ścisnął głowę rękami. Gdzieś znikła jego poza chciało mu się płakać. albo bić się z kimś.

(Przede wszystkim jednak przerażało go zniknięcie tej pozy, którą od lat przybierał w stosunku do Krystyny.

Dawniej zresztą starał się bagatelizować wszystkie jej romanse i chociaż nigdy to mu się zupełnie nie udawało, ale przynajmniej nie nazywał swoich uczuć po imieniu. Jednak od wczoraj, od czasu, w którym jego stosunki z Krystyną uległy gwałtownemu przeobrażeniu, do wszystkich dawnych urazów dołączyła się jakaś przyjemna świadomość posiadania, silniejsza od wszystkiego, do czego się przywiązał.

Do jakich tylko czasów mógł sięgać pamięcią, nieodmiennie towarzyszyły mu obrazy Krystyny. jeszcze w krótkiej sukience, na szkolnym podwórzu, w kościele, na wycieczkach. Przeżywał głęboko każdą rozmowę z nią, każde dotknięcie ręki.

Ale już wtedy był zarażony rozwiązłością swojego otoczenia, nie przebierał ani na wsi, ani w barze. przez całe lata mu się zdawało. że w ten sposób jakoś zobojętnieje.

Kiedy poznał Jerzego i Edka trochę wyszedł z tego kręgu. ale za mało miał czasu, żeby wyjść zupełnie.

Pomimo wszystko zostało w nim i ciągle się odnawiało dziwne uczucie dla Krystyny. W przebłyskach rozumienia zdawał sobie sprawę, skąd ono pochodzi

Posłyszał głosy, ocknął się, przez sąsiednią ścieżkę ktoś przechodził. Kroki ucichły, Jasiek zapalił papierosa i przypomniał sobie mały incydent sprzed blisko dziesięciu lat.

Zaraz za rowem pasły się krowy. Łaciata, żółto-biała i brązowa. Pies leżał na wąskiej kresce cienia, który rzucało drzewo, wysunął język i dyszał. Nad jego białą, potarganą sierścią kręciło się kilka much. Było bardzo gorąco. Drogą jechały na rowerach dwie biało ubrane dziewczyny. Jasiek pamiętał jeszcze, że miały na nogach pantofle tenisowe a na bagażnikach wiozły rakiety. Stał dalej na piekącym słońcu, pokurczony, łykał łzy. Ciało piekło go i swędziało, z wściekłością zaciskał zęby, kiedy przypominał sobie bicie, które niedawno dostał od ojca, klął

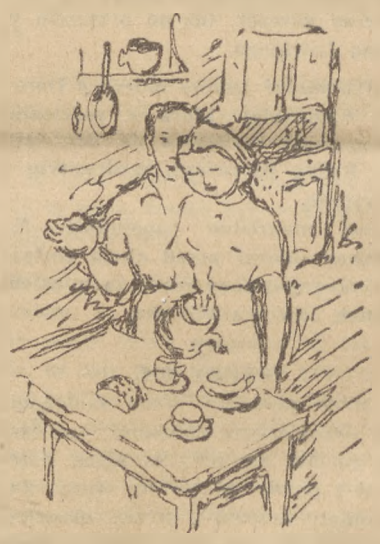

najgorszymi wyrazami, jakie kiedykolwiek słyszał. Dziewczęta zeskoczyły przy nim z rowerów, któraś spytała go, czemu płacze. Gładziły go po głowie, dały mu cukierka. Wtedy powiedział. Zgubił dwa złote, teraz nie ma czym za szkołę zapłacić, ojciec go zbił.

Mówił, ale już się wstydził swoich łez. Wyprostował się, nie płakał i patrzył prosto na dziewczęta. Dały mu te dwa złote i pojechały dalej. Patrzył za nimi długo, aż stopiły się smugi kurzu, ciągnące za kołami rowerów. I nagle uświadomił sobie, że to były także dziewczęta, takie, jak te z baru i sąsiedztwa... I z miejsca pomyślał o nich, jako o dziewczętach. Długo potem wspominał miękki dotyk rąk dużo starszych od siebie dziewczyn i marzył o nim, z początku lękliwie, potem silnie, klnąc swoją nicość, która nie pozwoliła mu jakoś przybliżyć życia do tych marzeń. Na tym podłożu zbudziło się jego uczucie do Krystyny, tym niebezpieczniejsze, że już nie bezosobowe, jak tamto, ale konkretne i, co ważniejsze, osiągalne.

Zresztą Jaśka ciągnęła zawsze jakaś ambicja, jakaś żyłka nonszalancji, chęć używania a połączona z interesownością, którą wpoił w niego bar, wieś i jej sprawy, rosła nieznacznie, ale ciągle.

Z tego wszystkiego Jasiek nie zdawał sobie sprawy, ale to przypomnienie wróciło mu dawną pozę.

Zresztą, może to i nie była poza. Uważam to teraz za całkiem prawdopodobne. Ale mniejsza z tym. Pro-

Kazimiera Iłłakowiczówna

Z pamiętniczka

1.

Niski, długi, szeroki dworek z oficynką, podwórzem i sadem; w pobliżu — stajnia, obora, chlew i kurnik. W stajni — groźny siwy źrebiec Waśka, jeśli wymknie się kiedy, zadepce na śmierć. W oborze — nieprzyjaciel, bodliwy byk; jeśli zerwie łańcuch, zabodzie na pewno. W sadzie — ule; jeśli powieje wiatr w ich stronę, pszczoły rzucą się chmarą i śmiertelnie pokłują. W budzie — kosmaty niecierpliwy pies; gdy się wyjdzie z domu o zmroku, kiedy nie jest na uwięzi, zagryzie. Tuż niedaleko — wielkie jezioro w lesie; nie wolno się doń zbliżać, żeby nie utonąć. I do lasu także — nie wolno, bo zbłądzi się, osłabnie, a kto upadnie, tego zjedzą na ziemi czarne i rude mrówki.

Kaczańce na grzęzawisku, żółte kluczyki w pobliżu pasieki, bez koło stajni, jarzębina u obory — wszystko pociąga i jednocześnie grozi niebezpieczeństwem, nawet anyżek i angielska trawka w kwietniczku. Można się nimi zadławić. Już gardło się ściska, już brak oddechu, oczy są pełne łez, kiedy nagle przychodzi ulga, napór ustępuje, śmierć oddala się... A może nigdy nie była bliska?

Owszem, ale nie w sadzie, na podwórzu, czy w lesie. Śmierć jest wewnątrz domu.

2.

W szparach starych, chropowatych podłóg gnieżdżą się pająki i stonogi; w ciężkich domorosłych meblach kołacą kołatki; skrzypią spaczone od urodzenia drzwi i łóżka; wiatr stuka nieszczelnymi okiennicami i naderwanymi juszkami pieców. Światło w niskich pokojach o wyblakłym obiciu jest zielone. Słońce, stropione skazami na tanich szybach usiłuje jednak przesiewać swoje krążki i sierpy na lichy dywan o niewiadomym deseniu i kolorze. W nocy ogromna, zamazana twarz księżyca — tylko ona! — coraz to strząsa z niewyraźnych dalekich rzęs łzy litości. Padają na krzywe gonty, gubią się w naddartych rynnach. Nikt o nich nie będzie wiedział.

Barbara, nieślubna synowa Promienistego Tomasza, umiera.

3.

Już nie pośpieszy małymi stopkami w rozbitym obuwiu z lekcji na lekcję, już nie wzniesie oczu na ongiś znajome, a potem zamknięte dla niej twarze bliskich, zamknięte — jak się drzwi z przekleństwem na zawsze zatrzaskuje dla przestępcy. Już nie wyjdzie przed dworek na słońce, nie oprze się o ścianę ciężką od warkoczy głową, nie obejmie spojrzeniem wielkich, siwych, wylękłych oczu — dziewczynek swych, bawiących się pośród kurcząt i kacząt w trawie. Nie przejdzie ze skrzypiącego, wyleżanego w gorączce łóżka na oblazły, obłupany fotel... Nie!... Nie zwilży ust gorzką kropelką wilgoci z grubej, zielonej łodyżki aloesu. Nie usiądzie na posłaniu, nie wymaca ręką — gdyż już ślepnące oczy nic nie dostrzegają — mysich ogonków u ciepłych, wesołych główek.

Barbara, nieślubna synowa Promienistego Tomasza, umiera.

4.

*Nic nie waży lekka trumna na barkach z grubego samodziału; mocno tupią podkute buciska; chrzęści pod nimi ajer *) i choina, którą wysypano podłogi. Pyzate, rumiane dziewczęta długo w noc po robocie wiły z kluczyków, jaskrów i kaczeńców przeplatane zielenią wieńce. Otóż i drabiak przystrojony brzeziną i świerczyną; siwkom wpleciono do grzyw wstążki z czarnego papieru i włódarz, który pójdzie z wozem aż na cmentarz za jeziorem, ma czarną opaskę na kurtce.*

Już ci nikt nic nie zrobi, już ci się wszystko stało. Tylko tę trumnę jeszcze na wóz, tylko za tym wozem do promu — nędzne spracowane kobiety i ciekawskie lniane dzieci ciżbą. Uderzenia bosych kopyt o deski i krótki turkot kół przy wjeździe. Odpływasz... I już tylko leśny zdeptany brzeg i spłakana gromadka kobiet, uprowadzająca z powrotem razem ze swoimi własnymi — dwoje twoich dzieci.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

*) Ajer — żwirek.

szę mi wybaczyć te wstawki, oddaję znowu głos faktom).

Zapiekł w palcach papierosa, rzucił go na ziemię, przydeptał nogą, chociaż koło ławki stał żelazny kosz na śmiecie. Przygładził palcami włosy, poszedł w stronę tarasu.

Krystyna miała roześmiane oczy i wesoło rozmawiała z jakimś tłustym, zdawałoby się ośl zgłym Ukraińcem. Siedział koło niej i cały rozpływał się w uśmiechach. Wysoki oficer w binoklach stał nieco z boku, oparty o poręcz leżaka i rozmawiał z siedzącą na nim chudą

i bladą Niemką. Jego zimne, rybie oczy, błyskające zza szkieł, nasuwały Jaśkowi jakieś skojarzenia. Blada, o drobnych, ale drapieżnych rysach twarz, wąskie, długie ręce. Tak, gdzieś, kiedyś, widział Jasiek tego człowieka, albo kogoś bardzo do niego podobnego.

Usiadł ciężko na krześle. Odpowiedział na kilka pytań a w pustkę, którą czuł w sobie, wsiąkło i skrępowanie, ciążące dotychczas na wszystkich jego ruchach i gestach. Zapytał o coś Letzkiego, zaśmiał się z dowcipu, który opowiadała Niemka na leżaku. Potem przypomniał sobie anegdotę, którą parę dni temu ktoś mu opowiadał i powtórzył ją spokojnym głosem. W śmiechu obecnych wyczuł zainteresowanie swoją osobą i to mu dodało pewności siebie. Zaczął brnąć w gąszcz towarzyskich rozmów. Na Krystynę nie zwracał wcale uwagi. Czasem tylko jakieś nieopatrzne słowo, gest, poruszały znowu ukrytą starannie bolączkę. Mieszał się, milkł, ale to było tylko chwilowe

Wysoka, ładna Niemka w szarym kostiumie przysiadła się do niego i zaczęła wypytywać o stosunki w mieście i biurze. Ogród przed gankiem ciemniał coraz bardziej. Z boku, za domem, zajęczał klakson samochodu, świdrujący, rosnący warkot przesunął się po drodze, zaszumiał za jakimś rogiem i ścichł.

— Pan pewnie ma bardzo mało czasu dla siebie — pytała Niemka, patrząc na Jaśka niebieskimi, przymrużonymi oczami. Ciemne, długie rzęsy, ładnie kontrastowały z kolorem tych oczu.

— Całe wieczory mam wolne, ale w takim miasteczku jak nasze to trudno się zabawić.

— O, nie — zaprotestowała — jestem pewna, że można by tutaj przyjemnie spędzać czas.

— Musiałaby mnie pani nauczyć...

Kątem oka zauważył utkwione w sobie spojrzenie Krystyny i to go zachęciło do jeszcze większej poufałości.

— Mogę nauczyć — zaśmiała się odrobinę za głośno i niebardzo potrzebnie.

— Pani długo tutaj będzie?

Przysunął się bliżej.

— Czy ja wiem, gdzieś z tydzień. Jesteśmy przejazdem, z bratem — skinęła głową w stronę oficera w binoklach, który znowu rozmawiał z Krystyną. — Brat wraca ze wschodu, ma tutaj zostać. Teraz zatrzymaliśmy się u landkomisarza. To nasi bliscy krewni — dodała.

— A, to pani brat? — zainteresował się — pewnie jeszcze tu nie był — badał niezręcznie. Zdawała się tego nie dostrzegać.

— Ja to pierwszy raz, ale Herbert już kiedyś był, przed rokiem.

Zanim zdążył zebrać myśli Letzka wstała i zaczęła zapraszać do wnętrza.

— Robi się chłodno — mówiła głośno — zatańczymy w pokoju, na rozgrzewkę.

W szmerze odsuwanych krzeseł i przyciszonych rozmów posłyszał szept nowej znajomej.

— No i co będzie z naszą nauką? — pytała.

— Jak pani chce — wyrwało mu się — może się jutro spotkamy?

— Z chęcią. — Nie była urażona. Przysunęła się bliżej.

— Może w restauracji pod magistratem? — mówiła szybko.

— Dobrze, o piątej — zniżył głos

Tymczasem posunęli się ku oszklonym drzwiom. W dużym pokoju paliły się światła i odbijały w błyszczącym parkiecie. Weszli już prawie wszyscy. Jasiek cofnął się, żeby przepuścić Niemkę, kiedy z tyłu ktoś lekko dotknął jego ramienia Odwrócił się. Krystyna stała w cieniu, tylko na jej twarzy błyskały pręgi przesianego przez szyby światła.

— Zaczekaj — powiedziała.

Stanął z boku. Ogarnęło go znowu zniechęcenie i pustka, jak w ogrodzie. Zahuczał patefon jakimś wiedeńskim walcem.

— Przejdźmy się po ogrodzie — wyszeptała — bo zaraz nas zobaczą i zaciągną do tańca...

— Po co? — zapytał.

— Co? — nie zrozumiała.

Chciał być zimny i obojętny ale wzbierała w nim gorycz i ona mu dyktowała to, co mówił.

— Co by ci powiedział ten... Herbert, czy jak?

— Kto taki? Weisemann? Jasiek! — prawie krzyknęła — co ty? Rozmawiać mi nie wolno?

— Obejmowanie się to też rozmowa?

Walc się skończył. Zmieniano płytę.

— Coś ty, zwariował? — zbliżyła się jeszcze bardziej, tak, że się prawie przytuliła. Pachniała jakimiś perfumami. — Ja mu się nie pozwoliłam obejmować, co tobie? On chciał siłą, przeprosił, zaraz wróciliśmy na taras...

Doznał potrzeby wierzenia jej słowom, chociaż miał przeświadczenie, że kłamała.

— Kto to, gestapowiec? — zapytał jeszcze słabiej.

— Zdaje się, co mnie to obchodzi.

Przytuliła się do niego, objął ją machinalnie, potem przycisnął do siebie z całej siły i zaczął całować Deszcze rozpadał się dużymi, rzadkimi kroplami. Odsunęła się od niego, roześmiała. Roześmiał się także. Poczuł odprężenie.

— Nawet go dobrze nie rozumiałam — odezwała się — musisz czasem porozmawiać ze mną po niemiecku.

— Dobra, dobra...

Po chwili powiedziała pierwsza:

— Chodźmy.

Deszcz lał strumieniami.

Weisemann tańczył z jakąś kształtną Ukrainką, Wiesią, czy Marusią, nie pamiętał jej imienia. Poszukał wzrokiem siostry. Rozmawiała z Letzkim. Przypomniał sobie znajomą skądsiś twarz chłopca, z którym siedziała na tarasie. Stanęli. Głośnik zachrobotał, znowu zmieniano płytę. Wziął pod rękę swoją partnerkę i przysiadł się do Hildy i Letzkiego Krystyny nie było. Zniecierpliwił się.

— Pańska córka nie bawi się z nami — powiedział.

Hilda uśmiechnęła się.

— Została na tarasie z panem... Kornijczukiem, tak? — zwróciła się do Letzkiego.

— Tak — wyrwała się Wiesia, czy Marusia i zawstydzona umilkła. Letzky powiedział obojętnie.

— Może znowu padać deszcz. Zachmurzyło się.

Głośnik patefonu zajęczał jakimś fokstrotem. Poprawiała sobie szpilki na głowie.

Stali w czwórkę przy stoliku z butelkami napojów i pijąc małymi łykami wodę sodową patrzyli na tańczących. Wiatr targał oszklonymi drzwiami i bił w nie strugami deszczu. Jasiek drżał z jakiegoś niewytłumaczonego podniecenia. Obserwował nieznacznie Krystynę. Rozmawiała żywo i swobodnie z Weisemannem. Znowu poczuł piekące uczucie zazdrości, ale tylko na moment.

Hilda była troszeczkę wstawiona.

— Napijemy się po kieliszeczku? — zaproponował Jasiek. Chciał poczuć przyjemny szum w głowie. Zgodzili się łatwo. Napełnili kieliszki czerwonawym płynem.

— Zdrowie obecnych?

Wypili.

Ktoś ukłonił się przed Hildą. Znowu walc. Zostali w troje.

— Zatańczysz? — zapytał Jasiek.

— Obiecałam kapitanowi.

Został sam. Zapalił papierosa i patrzył nieznacznie na Krystynę. Wirowała zgrabnie, trochę za blisko partnera.

— Panie Jaśku — głos Letzkiego zabrzmiał wyrzutem — tyle pań siedzi, a pan nic.

Przystanął. Jasiek starał się być grzeczny.

— Jakoś nie mam ochoty.

Milczeli chwileczkę. Jasiek obserwował zmęczoną, pomarszczoną twarz Letzkiego. Przypomniał sobie nagle, że to właśnie o nim, o tym przygarbionym człowieczku, mówił Jerzemu.

— Jutro pojedziemy na wieś, panie Jaśku.

— To dobrze. Znudziło mi się siedzieć w biurze.

Znowu rozmowa się urwała. Zaczął Jasiek:

— Doskonale się wszyscy bawią, bardzo to było dobrze pomyślane... — zaciął się.

Letzky uśmiechnął się kącikami ust.

— To nie ostatni raz. Zawsze nam będzie miło widzieć pana u siebie...

Jasiek przypomniał sobie, że wypada się ukłonić. Letzky kiwnął głową i odszedł. Walc się skończył. Weisemann pocałował Krystynę w rękę, usiedli pod przeciwległą ścianą. Hilda dawała Jaśkowi jakieś znaki, udał, że nie zauważył. Letzka podeszła do Krystyny, o coś ją poprosiła. Podniosła się z uśmiechem, częstowała gości kruchymi ciastkami, spiętrzonymi na tacy. Rozmawiała, śmiała się, w końcu podeszła do Jaśka. Podziękował chłodno. Zdziwiona, odstawiła tacę na stolik.

D. c. n.

Alina Swiderska

Na marginesie zjazdu polonistów

Zjazd polonistów w Warszawie był niezmiernie interesujący. Nie mówiąc już o samych referatach bardzo ciekawych i opracowanych wielostronnie, dyskusja rozwinęła się tak obficie, że wybujała o wiele poza ramy zjazdu i mogłaby się ciągnąć jeszcze o wiele dłużej nie wyczerpując poruszonych tematów.

Między innymi poruszano tam sprawę towianizmu. Sprawa ta cokolwiek już zapomniana, ożyła na nowo dzięki rocznicy mickiewiczowskiej dając pole do rozmaitych poglądów i kontrowersji, które jednak zdaniem moim wciąż się obracają w błędnym kole nie znajdując zeń punktu wyjścia. Tak samo było i w dyskusji na zjeździe. Przyczyna według mnie leży w tym, że zbyt mało uwzględnia się tło epoki osądzając rzecz — niekoniecznie nawet ze ściśle dzisiejszego, ale w ogóle — z późniejszego punktu widzenia.

Nie jest to wypadek wyjątkowy. Przy osądzaniu rozmaitych zjawisk często zapomina się o tym, jak wielki wpływ na ich powstawanie, a raczej na samą formę ich przejawu wywiera to, co nazywamy duchem czasu, czyli całokształt pojęć, zapatrywań, sposobów odczuwania i uznanych powszechnie w danej epoce truizmów, które dla każdego pokolenia są inne. To, co późniejszym pokoleniom wydaje się absurdem, niedorzecznością, czyni wrażenie jakiejś psychozy czy zbiorowego zakłamania — ludziom współczesnym wydawało się normalne. Tym bardziej zaś dotyczy to towianizmu, który nawet przez wielu współczesnych uważany był za obłęd, a cóż dopiero dzisiaj. Dla zrozumienia tego zjawiska konieczna jest znajomość dokładna podłoża, na jakim się rozwinęło.

Mam wprawdzie nieufność... więcej nawet niż nieufność do sądów Kallenbacha, ale erudycji nikt mu nie zaprzeczy. Był to badacz sumienny, a znalazł się w posiadaniu źródeł, które dla niego pierwszego były dostępne. Toteż bez uwzględnienia jego książki „Towianizm na tle historycznym" niepodobna dać należytego pojęcia o tym, czym było właściwie to zjawisko, o tym jak powszechna i jak zaraźliwa stała się ta mania mistycyzmu, jaka już od końca XVIII wieku ogarnęła całą Europę środkową i owładnęła nawet najtęższe umysły oraz jak wielu, zwłaszcza we Francji było „proroków" tego typu. Towiański nie był ani największym z nich, ani najwybitniejszym, stosunek jego do saint-martin'izmu, boehm'izmu itp. był raczej podobny jak stosunek mahometanizmu do chrystianizmu, i z pewnością mało kto dziś by o nim wiedział, gdyby nie to, że pociągnął on za sobą tych, którzy zostali uznani za naszych narodowych wieszczów. I w tym główna jego siła — a dodajmy także i zręczność — że potrafił ich bodaj chwilowo za sobą pociągnąć.

W czasie dyskusji wspomniano także pobieżnie o tym, że jeden z naszych poważnych uczonych uznał za możliwe, iż Towiański naprawdę miewał „objawienia". Zdaje mi się, że tu jest pewne nieporozumienie co do wyrażeń. Co innego jest objawienie, a co innego wizjonerstwo. Którą wizję można uznać za objawienie, to kwestia teologiczna nadająca się do rozstrzygnięcia tylko przez specjalistów w tej dziedzinie. Nas to w danym wypadku nie obchodzi. Wystarczający dla nas jest fakt, że Towiański był istotnie wizjonerem. Typ stosunkowo niezbyt rzadki. Czy i jak dalece sam wierzył w te swoje wizje, to kwestia zawikłana, jak w ogóle zawikłany był charakter tego człowieka i roztrząsanie jej pociągłoby nas zbyt daleko. Dość, że był urodzonym wizjonerem i tym swoim wizjonerstwem umiał potężnie oddziaływać na innych.

Uważam jednak, że w ogóle przecenia się u nas wpływ, jaki Towiański wywarł na Mickiewicza i na Słowackiego, przypisując mu zasięg głębszy niż był w istocie. Zarówno w jednym jak i w drugim wypadku był to tylko e p i z o d, wprawdzie wielki i wstrząsający, wywierający w danym momencie na geniusz, jakim byli obdarzeni, działanie przemożne — lecz mimo wszystko, tylko epizod. Słowacki otrząsnął się z tego wpływu dosyć prędko i poszedł dalej własnymi drogami, Mickiewicz zaś niebawem zaczął górować nad „mistrzem", co w końcu doprowadziło do zupełnego prawie rozłamu. Zarówno zaś u jednego, jak i u drugiego zetknięcie z towianizmem natrafiło na grunt już przygotowany, na pewien kompleks duchowy wynikający z różnorodnych i daleko sięgających przyczyn, a u każdego z nich odrębny i to zetknięcie wyzwoliło tylko utajone w tym kompleksie siły, nadając im na czas jakiś kierunek, który potem u obydwóch uległ zmianie.

Tyle o towianizmie. W innych wypowiedziach, jakie usłyszałam w czasie dyskusji, uderzyła mię jeszcze rzecz jedna. Była tam kilkakrotnie mowa o tym, jak wytłumaczyć fakt, że dzieła niektórych pisarzy na pozór już przestarzałe, stają się na powrót poczytne i na czym polega ta niespodzianie wznowiona ich aktualność? Mówcy objaśniali to rozmaicie i dawało to pole do rozmaitych uwag bardzo ciekawych samo przez się, zdaje mi się jednak, że jeśli idzie o samo *meritum* sprawy, to punkt ciężkości leży gdzie indziej.

Jeżeli stare i zwietrzałe już tematy nabierają na nowo aktualności, a forma ich podania zupełnie już nie odpowiadająca dzisiejszym wymaganiom przestaje jednak razić — to przyczyna tego tkwi nie w samym temacie, ani też nie w samej formie, ale zupełnie w czym innym. Moim zdaniem powód jest w tym, że autor może nawet i bezwiednie poruszył w swoim utworze coś, co jest niezmienne w naturze ludzkiej, że poprzez oświetlenie właściwe jego czasom, a zupełnie odmienne od dzisiejszego ukazał jednak to, co jest odwieczne, a więc wspólne wszystkim pokoleniom, i taki utwór nigdy się nie postarzeje, choć mogą go przyćmić inne, wyrażające to samo lepiej.

Tyle jeszcze kwestii poruszono ubocznie w czasie obrad zjazdu, że możnaby robić wiele uwag, na tym jednak się ograniczam.

Alina Świderska

WNĘTRZE i WYSTAWA
PL. GRZYBOWSKI 2 WARSZAWA
WiW
PROJEKTUJE I WYKONYWA
WNĘTRZA I WYSTAWY

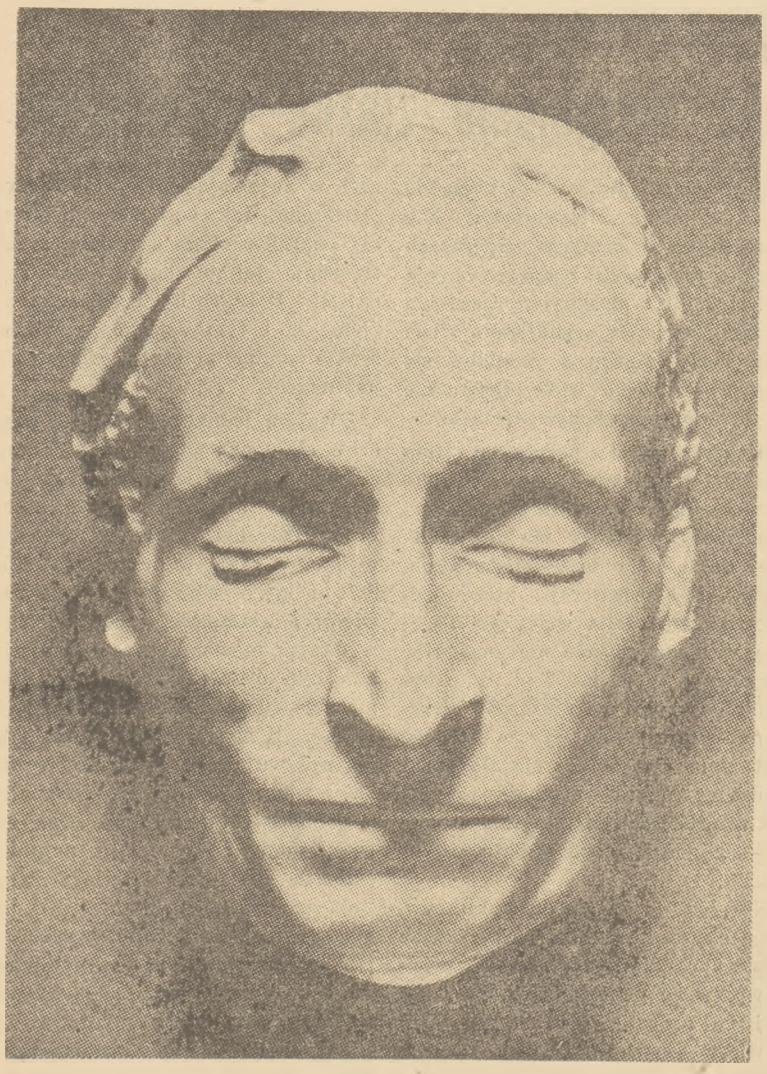

Maska pośmiertna Pascal'a.

OD REDAKCJI:

Gdyby jedynym zadaniem krytyka było „opowiadać o przygodach swojej duszy - wśród arcydzieł“, — to drukowany poniżej essay G. Duhamel'a , znakomitego poety i powieściopisarza francuskiego, można by uważać za ideał prozy krytycznej. Duhamel nie zajmuje wobec „Myśli“ Pascala postawy obojętnej i zrównoważonej. Wielkie arcydzieła, to utwory, które angażują nas w swoje problemy. — „Powiedz mi, co sądzisz o „Myślach“, a powiem ci, kim jesteś“. — Essay Duhamel'a jest świadectwem porachunku i walki z samym sobą.

Drukujemy ten szkic nie jako filozoficzny komentarz do dzieła Pascala, ale jako głębokie i najwyższy szacunek budzące wyznanie człowieka, który szuka prawdy, i który czytając „Myśli“ spotyka się ponad przedziałem wieków z Pascalem — klerkiem tragicznym. Stanowisko Duhamel'a jest w wielu punktach bliskie katolicyzmowi. Od ortodeksji katolickiej dzieli go przede wszystkim irracjonalistyczne pojmowanie wiary religijnej. Można powiedzieć, że Duhamel potęguje jeszcze tkwiące w dziele Pascala elementy manichejskie. Pisze: „Gdyby... pewnego dnia była mi dana wiara religijna, sądzę. że użyłbym całej zapalczywości mego rozumu, aby strzec tego cennego wiatyku przed działaniami rozumu“. To i temu podobne sformułowania trudno pogodzić z nauką Kościoła, który mówi nam o racjonalności aktu wiary.

Ale zacytowane zdanie wskazuje również na to, w jakim kierunku zwraca swoje oczy ten wielki klerk, marzący o celu wędrówki.

Georges Duhamel

TRAGIZM I WIEL

O Pascal'u wie się dzisiaj wszystko, co by tylko można o nim wiedzieć. Uczeni odkryli wszystko, wszystko zważyli, wszystko uporządkowali z bezgraniczną cierpliwością. Zebrano porozpraszane papiery, poklasyfikowano, poddano badaniu tysiące i tysiące razy. Rękopis „Myśli“, odtworzony przez zręcznego fotografa znajduje się w księgozbiorach zapalonych miłośników. Każdy z nich może oddawać się złudzeniu, że zdobył na własność te stronice w takim stanie, jak je człowiek chory, trawiony śmiertelną gorączką, kopiował ongiś dla siebie, pokrywał niespokojnym pismem, odrzucał precz i brał znowu, by napełnić wszelaką treścią. Tak, naprawdę powiedziano wszystko, co można było powiedzieć: uczeni dobrze spełnili swój obowiązek.

Ośmielam się więc mówić nie o Pascalu, ale o mnie samym. Kim jest dla mnie Pascal, mogę przedstawić z niejakim wysiłkiem choćby tylko gwoli udowodnieniu niezmiernej mojej dla niego wdzięczności.

Podczas wielkiej wojny, pomiędzy 1914 i 1918, nosiłem w plecaku, a jeszcze częściej w kieszeni, małe wydanie „Myśli“, niepełne, ale zato poręczne i jakże bogate i cenne! Zaiste, czyż mógłbym nie wspomnieć ani słowa o tym ile usług oddała mi ta książka i ile dzięki niej zaznałem dobrego? Wśród burz stulecia, które mnie niosą, Pascal pozostaje mą ostoją i tarczą

DZIEŁO jego, olbrzymie rozmiarami (doskonałe wydanie pod redakcją Jakuba Chevalier zamyka je w jednym jedynym tomie) jest w sobie niewyczerpane. Wydaje mi się, że je znam, a jednak robię w nim coraz nowe, olśniewające odkrycia. Jeden łyk tego płomiennego leku, a zgiełk wydarzeń świata oddala się, odpływa: stoję oto samotny, na opuszczonym wybrzeżu, zwrócony twarzą ku bezmiernym przestrzeniom, których wieczyste milczenie przeraża mnie, jak przerażało kiedyś tego, co pozostanie zawsze moim mistrzem i moim przyjacielem, tak wiele wymagającym.

Nazwisko Pascala jest symbolem wszelkiej nadziei i wszelkiego niepokoju człowieczego. Dramat Pascala jest dramatem wszystkich tych, którzy szukają i cierpią. Zdarza się, że gdy czasem o nim zapomnę, gdy oddaję się rozrywce, obraz Pascala zjawia się nagle na ścianie mego domu, wpośród ksiąg mojej biblioteki, zawsze i nieuchronnie na drodze mojego spojrzenia. Chciałem, aby jedna z istot, którymi się opiekuję i którymi się cieszę, nosiła imię Pascala, jako talizman i wiatyk. W ciągu mego życia, dość już chyba długiego, kilkakroć wzywałem wielkie duchy bądź to uwielbiając ich dzieła, bądź to głosząc ich chwałę, bądź wyznając ich Prawdę. Jego Pascala, wzywam wtedy, kiedy wołam o pomoc. I ośmielam się wyznać, że i teraz właśnie go wezwałem

Pomimo swego pochodzenia nie jest Pascal typem z okolic Auvergne. Ta twarz blada, zmienna w wyrazie, cierpiąca, wymizerowana przez chorobę i ćwiczenia duchowe, nie przypomina wcale twarzy, jakie się widuje w wioskach Limagne. Wydłużona, wytworna czaszka nie jest wcale podobna do szerokich głów o kości mocnej i masywnej.

Wszystko w twarzy Pascala znamionuje inteligencję. Przede wszystkim wspaniałe czoło: nie wznosi się ono wcale na kształt ściany, ani też nie ma wypukłości jak czoło Beethovena, które przywodzi na myśl kufer, lecz odznacza się rysunkiem wyjątkowo wykwintnym i skroniami zaklęsłymi wskutek choroby Nos jest długi, ostry, zagięty bez przesady, lekko i asymetrycznie wykrzywiony. Łuki brwi są pełne i czyste Usta, które na portretach młodzieńczych mają kształt pełny, zwęziły się od cierpień i umartwień. U schyłku życia, jest to jakby oblicze świętych pańskich. Pascal wcale nie jest świętym. I mędrcem też nie jest. Jest Pascalem.

JAKŻE często zastanawia nas i dręczy myśl, że jeden z naszych najdroższych przyjaciół staje się nam właściwie obcy przez niektóre swe czyny, a niekiedy nawet przez swój zawód, o którym nic nie wiemy i którego nie jesteśmy w stanie zrozumieć.

Ten oto Pascal, od tylu lat towarzysz mego życia, jest także — o czym rzecz jasna, nie zapominam — zdumiewającym matematykiem; lecz w tej dziedzinie nie mogę iść jego śladami i to mnie nęka.

Kiedyś, w szkołach, poznałem zasadę Pascala. Nie wątpię, że mógłbym jeszcze bezbłędnie ją zacytować. Prace o próżni, albo o ciężarze powietrza interesują mnie i pouczają. Geniusz fizyka nie jest dla mnie niezrozumiały. Ale zato wszystko, co w dziele tego nadzwyczajnego ducha jest czysto matematyczne, napawa mnie respektem i bojaźnią. Studia: L'Essai pour les Coniques Lettres a Fermot sur la Regle des Partis, Traite du Triangle Arithmetique, Probleme de la Roulette i zasady analizy nieskończonościowej — oto dla mnie świat tajemnicy, w którym Błażej Pascal porusza się swobodnie, a w który ja nigdy nie zdołam się zapuścić. Zdaję sobie sprawę, że na pewno mój Pascal nie byłby tym, którego kocham i podziwiam, gdyby równocześnie nie był władcą w wielkim państwie dla mnie zamkniętym; podobnie wszakże jak małżonka, która nigdy nie mogła iść ze swym mężem do pracowni, albo do kopalni, albo do szpitala, albo do laboratorium, i ja myślę z utęsknieniem o tych talentach cudownych, które nie były mi dane — o życiu w świecie Pascala Świat ów może być dla mnie tylko mitem.

Geniusz matematyczny jest geniuszem wczesnych lat życia. Owłada człowiekiem w kołysce, obsypuje go niemal swymi darami, upaja i często opuszcza zanim wybije godzina dojrzałości. Podobnie, jak geniusz liryczny i geniusz muzyczny, prędko ulega zwarzeniu przez troski wieku dojrzałego. Aby wzlecieć i wznieść się, nie trzeba mu ani doświadczenia ani nawet pracy i nauki. Błyski i błyskawice objawień nie omijają go. Stefan Pascal, ojciec Błażeja Pascala, wolałby, aby jego dziecko uczyło się obcych języków i chętnie odwróciłby je od studiów matematycznych, które uważał za zbyt męczące. Dziecięcą ciekawość swego synka zaspakaja tylko w drobnej mierze jakimiś ogólnymi definicjami I wyobraźnia chłopaka zaczyna pracować. Na podłodze swego pokoju rysuje węglem figury, których nazw nawet nie zna. Odnajduje prawidła, dochodzi do wniosków, rozwiązuje zagadnienia, powtarza w ten sposób całą pierwszą księgę Euklidesa. Tak oto dokonuje się wielki bez wątpienia cud, spopularyzowany przez malarzy i rzeźbiarzy w dziełach uwieczniających pewne momenty z życia Pascala. Ogromna cierpliwość Pascala, którą De Buffon podkreślił w swej mowie podczas przyjęcia do Akademii, stanowi dokument geniuszu biologa, geniuszu tworzącego się w długich obserwacjach, w rozmyślaniach bez końca, w przechadzkach naukowych, w powtarzanych ciągle doświadczeniach i dociekaniach.

JEŻELI geniusz matematyczny nie opuszcza swych ulubieńców, zdarza się również, że ich nuży, jak gdyby ten właśnie nawyk do zwycięskiego rozwiązywania zagadnień musiał przynosić zniechęcenie. Ciekawe jest śledzenie objawów tego zniechęcenia u dwóch wielkich umysłów współczesnych, u Descartes'a i u Pascala.

Descartes zabłysnął w naukach zwanych ścisłymi. Otóż przy końcu niedługiego życia widzimy go w służbie nauk przyrodniczych i medycyny. Robi sekcje zwierząt i udziela pacjentom porad lekarskich Interesuje i niepokoi go życie, nastręczające się zagadki, które co dzień trzeba rozwiązywać na nowo, co dzień w inny sposób, przystosowany do zmiennych okoliczności.

Pascal idzie tą samą drogą, co Descartes. Nie wyczerpał do dna niewyczerpanych możliwości matematyki, ale bardzo wygląda na to, że ich zakosztował aż do obrzydzenia Mówi to jasno w liście do Fermat'a:

„Aby wyrazić bez ogródek swoje zdanie o geometrii, powiem panu, że uważam ją za najdoskonalsze ćwiczenie umysłu. Lecz mam ją równocześnie za tak bezużyteczną, że małą robię różnicę pomiędzy człowiekiem, który jest tylko geometrą, a zwyczajnym rzemieślnikiem. Nazywam ją też najpiękniejszym zajęciem na świecie; ostatecznie wszakże jest to jedynie zajęcie. I często się wyrażałem, że, choć dobrze ją studiować, nie warto trwonić na nią naszych sił“.

List ten pochodzi z roku 1660. Pascal ma wtedy 37 lat. Pozostają mu jeszcze tylko dwa lata życia Od dawna był już zbiegiem z pola nauk matematycznych. Wróci do nich, stopniowo: przedtem atoli zwrócił się do „nauki o człowieku“

Człowiek to ciało i dusza. Descartes, gdyby żył dłużej, byłby został bez wątpienia lekarzem naszego nieszczęsnego ciała Pascal porzuciwszy matematykę zwraca się całkowicie ku cierpieniom duszy ludzkiej. Chce być lekarzem duszy

Wrodzony talent do matematyki wydaje się jednym z największych przywilejów inteligencji. A przecież jest to talent równoznaczny z instynktem. Na równi z człowiekiem posiada go najmniejsze nawet stworzenie. Owady w wielkiej części swych prac nasuwają nam przypuszczenie, że stosują się dokładnie do zasad matematycznych. Pszczoła zachowuje się, jak biegły geometra, umie zbudować dokładny sześcian swej komórki. Mrówki pracują, jak odważni i zuchwali cieśle. Przy zagnieżdżaniu się ptaki i niektóre ryby umieją wybrać budulec, obliczyć jego wytrzymałość i zgromadzić w odpowiednim miejscu stosownie do praw rozsądku.

Istotne dla człowieka — tak myśli Błażej Pascal — jest robić to, czego zwierzęta nie robią, nie potrafią robić i nie zdradzają żadnym znakiem wobec nas, że potrafiłyby Istotne dla człowieka jest nie samo życie, jak dla zwierząt, ale poszukiwanie sensu życia.

Wcześnie więc odwraca się Pascal od uciech matematyki On tymi uciechami nie gardził, porzuca je tylko gwoli nowej przygodzie, gwoli pracy znacznie trudniejszej, ryzykowniejszej, ale i chwalebniejszej.

„Ponieważ nie można być uniwersalnym i wiedzieć wszystko, co można wiedzieć o wszystkim, — pisze Pascal, — trzeba poprzestać na tym, że się wie niewiele Bo naprawdę lepiej jest wiedzieć o wszystkim potrosze, niż wiedzieć wszystko o jednej tylko rzeczy; „taka uniwersalność jest najpiękniejsza“.

Zaledwie zapał encyklopedyczny podyktował mu te słowa, ledwie rzucił Pascal w świat tę awanturniczą sentencję, zrozumiał zaraz, że kryje się w niej niebezpieczeństwo. Zastanowił się i dodaje: „Gdyby można i jedno i drugie, byłoby jeszcze lepiej“. Jedno i drugie. Wiedzieć wszystko o wszystkim, być równocześnie istotą rozumną i istotą wierzącą. Nadzieję, że to jest możliwe, będzie Pascal hołubił aż do zgonu.

PO wyjściu z upojenia matematyką, której zawdzięczał pierwszy wielki rozgłos, a którą później nie bez lekceważenia nazwie „nauką o rzeczach zewnętrznych“, stał się Pascal przedmiotem pokus stulecia i sławy światowej. Któżby zresztą śmiał go z tego powodu obarczać jakimiś zarzutami? A jednak siostra Pascala, pani Perier, nie zawahała się. Nawet lekarze mu radzili, żeby się trochę rozerwał. A Pascal nie był od tego. „Był to, pwiada pani Perier, okres jego życia zupełnie zmarnowany“.

Ale siostra — biografka myli się. Te krótkie doświadczenia światowca miały dla Pascala bez wątpienia znaczenie rozstrzygające. Aby nabrać usprawiedliwionej odrazy do świata, Pascal musiał go wpierw poznać. Nie uważam, że to jest dobrze i mądrze próbować namiętności i błędów, aby następnie tym wspanialej odtrącać pokusy. Ale, aby pogardzić szczerze i z powodzeniem pewnymi wielkimi powabami ciała, nie jest bez pożytku przeżyć je i być wydanym na ich łaskę i niełaskę. Poświęcić to, co się ma, to ból całkiem innego rodzaju.

Pascal uciekł od świata, aby stać się Pascalem. Ale czyż byłby się stał naprawdę Pascalem, gdyby go świat przedtem nie poranił i nie popaczył. Być może, iż właśnie w czasie tego przebywania w szerokim świecie doświadczył Pascal całego okrucieństwa jego nędz. Pascal — człowiek cierpi w samotności tak samo jak w kłębowisku stulecia; ale wpływ stulecia jest bardziej upakarzający ponieważ pociąga za sobą przerwę w obcowaniu z Bogiem, przyznanie się do naszej słabości oraz pragnienie podniet. Czyż Pascal byłby w stanie napisać swe płomienne uwagi o grach, o łowach, o wojnie, o rozmowach kobiet między sobą, o utra-

tłum. A. Kalinka

KOŚĆ PASCAL'A

pieniach królów, gdyby nie zakosztował, nie zrozumiał i nie osądził towarzystwa swych bliźnich? Wszelka moralność bierze początek w obserwacji obyczajów. Dwunastoletnie dziecko samotne w swym pokoju może odkryć trzydzieści dwa pierwsze twierdzenia geometryczne. Ale by pełnić służbę moralisty (a Pascal jest wielkim moralistą), trzeba wyjść ze swego pokoju, obracać się wśród ludzi i odcierpieć obcowanie z nimi.

I oto pośród ciemności świata rozbłyska nagłe światło, a poprzez wrzawę stuleci rozlega się głos: „Azali nie jest jasne jak dzień — powiada Pascal, — że sami odczuwamy w sobie niezatarte ślady doskonałości. Zali nie jest równie prawdziwe, że w każdej chwili stwierdzamy skutki i następstwa naszej pożałowania godnej ludzkiej natury. A cóż woła do nas z tego chaosu i z tego potwornego zamętu, jeżeli nie prawda owych dwu stanów: — głos ten jest tak potężny, że nie można mu się oprzeć“.

KTO posługuje się rozumem, jako narzędziem i jako światłem, ten musi zdawać sobie sprawę, że natknie się na to, co się nazywa „irracjonalizmem“. Maurycy Bondel pisze: „Nauki zwane ścisłymi, dały rozumowi ludzkiemu zadowolenie dzięki swojej jasności, którą uważam za doskonałą. Ale mimo wszystko zachowały dlań wiele niespodzianek, powiedzmy, nawet niespodzianek gorszących“.

Pascal posługiwał się rozumem może lepiej niż ktokolwiek inny. Z tą doskonałą lampą w ręku brał miarę świata. Najpierw wziął miarę samego siebie. Rozum triumfował bezbłędnie, kiedy chodziło o zagadnienia z dziedziny geometrii. Ale od chwili, gdy Pascal opuszczając pole rzeczy zewnętrznych zbliżył się do wiedzy o człowieku, przekonał się, że rozum ma określone granice i że wszędzie czyhają nań przepaście. To narzędzie tak doskonałe, którym się posługiwał od dzieciństwa w sposób zdumiewający, okazało mu nagle całą swą niedoskonałość. Toteż łaje je gniewnie: „Upokórz się, rozumie bezsilny, milcz, naturo niedołężna, dowiedz się, że człowiek przewyższa nieskończenie człowieka.“ Albo dalej w innym miejscu tego samego dzieła: „Nie przez pyszne miotania się naszego rozumu lecz przez jego prostą pokorę możemy sami siebie poznać“. Ale z tego rozumu, który nie pozwala człowiekowi poznać samego siebie, Pascal nie rezygnuje wcale — rozum ten służy do poznania Boga.

Zdarzyło mi się kiedyś w jednej z prac powieściowych pokazać uczonego o najbardziej rygorystycznej dyscyplinie racjonalistycznej. Uczony ten wygłosił taką tezę: „Nie wierzę, że Bóg istnieje, ale jestem pewny, że istnieje idea Boga“. I ja także jestem pewny, że idea Boga istnieje, a ta pewność, która dla każdego rozsądnego człowieka przed stawia się jako świadectwo prawdy, pozwala tym, co są wyróżnieni łaską, mówić swobodnie o Bogu.

Daniel Huet, biskup z Avranches mówił, że inteligencja Boga jest zupełnie obcą inteligencji człowieka. O ile rozumiem właściwie myśl Daniela Huet, to nie chodzi mu tu o różnicę wielkości, lecz o różnicę natury. Obie inteligencje nie tylko są niewspółmierne: — one różnią się w samej swej istocie. Karol Nicolle, który znał to zdanie Huet'a, tłumaczył je tak, jak ja je tłumaczę; z konieczności przystosował je do użytku racjonalistów, mówiąc: „Inteligencja natury i inteligencja człowieka, nie mają ani podobieństwa, ani nie pozostają w żadnym ze sobą związku“. Aż nadto jest oczywiste, że porządek naturalny zadziwia nas i często razi. Nie wydaje się, aby był dziełem rozumu, podobnego naszemu rozumowi. Nieprawidłowości, jakie spostrzegamy nie tylko u istot żywych, ale także w przyrodzie nieorganicznej, a nawet w systemie gwiezdnym, ranią do żywa nasz rozum człowieczy. I czy natura ta jest dziełem Boga, czy też, jak mówi Spinoza, samą substancją Boga, wprowadza ona w zakłopotanie geniusz człowieka.

Jest rzeczą słuszną, aby narzędzie tak nadzwyczajne jak rozum ludzki używane było przez tego, kto je posiada, do rozpoznawania zjawisk. Jest rzeczą słuszną, aby rozum ten nie dał się odstręczyć przeszkodami, i aby nie uległ rozpaczy, gdy je musi pokonywać. Ale jest również słuszne, aby rozum uznawał nie tylko możliwość istnienia, ale również istnienie irracjonalistów.

Nie wyobrażam sobie, aby poznanie Boga mogło być czymś innym, niż aktem miłości. Gdyby przez jakiś zbieg faktów i myśli, których nie można przewidzieć, pewnego dnia była mi dana wiara religijna, sądzę, że użyłbym całej zapalczywości mego rozumu, aby strzec tego cennego wiatyku przed działaniami rozumu. Wydaje mi się, że zdobyłbym się na wielkie wysiłki by uniknąć stopienia się dwóch porządków w jeden i niedopuścić do straszliwych ich konszachtów. Mówię „wydaje mi się“, gdyż nie zatajam przed sobą trudności takiego przedsięwzięcia. Przykład Pascala wystarczył, aby mi dać miarę tych trudności. Przykład ten dowodzi, że szczęście wiary nie wystarcza pewnym duszom i że mają nakaz wewnętrzny, aby do swego szczęścia dorzucić jeszcze błogość rozumu i przeświadczeń, które daje.

CO do przywilejów łaski, to zdaje się, że Pascal otrzymał je w pełni; mamy na to świadectwo niezbite w pergaminie, jaki nosił zaszyty w podszewkę kaftanika od nocy 23 listopada 1654. Ale Pascal jest tak przywykły do argumentacji rozumowej, że nie może zrezygnować z posługiwania się rozumem i że zastanawia go, iż dla pewnego rodzaju doświadczeń instrument ten jest niewystarczającym. „Człowiek, mówi, najwyraźniej stworzony jest po to, żeby myślał; w tym cała jego godność i cała zasługa. I obowiązkiem jego jest myśleć, jak należy. Otóż porządek myślenia zaczyna się od tego, że myślę o sobie samym, o moim Stwórcy i o moim końcu“.

Nie ulega wątpliwości, że „myśleć“ oznacza tutaj „rozumować“. Wniosek taki jest nie do obalenia. Ale zaledwie Pascal zabiera się do wykonania tak szlachetnego zamiaru, widzimy go już pogrążonego w największym zakłopotaniu. Mimo wszystko, on, genialny intelektualista podejmuje różne próby, ale po to, aby doznać porażki. Widzimy go dwadzieścia razy, sto razy, jak wyrzeka się tego niemożliwego przedsięwzięcia. Odrzuca biedne narzędzie i wykrzykuje: „To serce, nie rozum, widzi Boga. Oto, czym jest wiara: Bóg wyczuwalny w sercu, nie w rozumie“. Ale natychmiast potem, mimo wielkości i olśnienia tym odkryciem, nie może sobie odmówić pochwycenia drżącą ręką za narzędzie niewiary i użycia go od nowa.

„Wolę pójść za Jezusem Chrystusem, niż za kim innym, woła, albowiem...“

Czekamy z boleśnie otwartymi ustami na dalsze jego słowa. Co powie Pascal? Być może to, co jedynie będzie decydujące: „Wolę pójść za Jezusem Chrystusem, niż za kim innym, albowiem kocham Go...“ To tak? Ale nie. Pascal ciągnie ku memu wielkiemu zdumieniu: „...Albowiem są tu cuda i proroctwa, nauka, sprawy wieczności itd.“. Czy mam się przyznać? To „itd.“ wstrząsa mną i zbija mnie z tropu.

JEŻELI można mówić dramacie Pascala, to jest on według mnie następujący: Pascal wraca bezustannie do cudów — a ten, kto się mu przygląda zaniepokojony, dochodzi w końcu do przekonania, że skoro Pascal o nich mówi, to może dlatego, że chce się ogłuszyć i oszołomić. Ale pozostaje zawsze człowiekiem wiedzy. Nie jest panem swych nawyków. Potrzebne mu są dowody. Pragnie wykazać, w czym religia chrześcijańska jest pociągająca i w jaki sposób przewyższa inne. Poczem zatrzymuje się, bez tchu, czując grozę. Jeszcze raz oświadcza, że Bóg jest miłością i że to wystarcza. Ledwie to ostatnie słówko cichnie w przestrzeni, a już Pascal znowu podejmuje sprawę dowodów.

Pisze: „Dowody Jezusa Chrystusa“. — Jesteśmy wciąż zmieszani. Bóg zwierzył swą tajemnicę człowiekowi, on zaś żąda dowodów, porządkuje dowody, plącze się w długich dociekaniach na temat cudów. To św. Augustyn, jak się zdaje powiedział: „Bez cudów nie byłbym „chrześcijaninem“. To powiedzenie mnie razi. Czyż nie jest to powiedzenie człowieka małej wiary? Jeżeli Bóg naprawdę mówił mu do ucha, poco inne cuda.

Być może, że w moim pojęciu idea wiary przerasta swym światłem wszystko inne. A tu Pascal wprawia mnie w kłopot. Mówi bowiem: „Nie dziwcie się, widząc prostaczków, którzy wierzą bez mędrkowania“. Ale on sam, który (jak to muszę chyba uznać), nie jest osobą prostą, — nie może powstrzymać się od rozumowania. Jest to jego grzech, jego pokuta. Mówi: „Nic nie jest tak odpowiednim dla rozumu, jak właśnie to zaprzeczenie rozumowi“. A trochę dalej: „Ostatnim zabiegiem, do którego rozum się ucieka, jest uznanie, że istnieje nieskończony szereg rzeczy, których nie może objąć“.

Takie wołania nieraz rozbrzmiewały w ciągu stuleci. Ale bynajmniej nie przynosiły ulgi tym, którzy wołali. Pascal jako uczony wszędzie mieszał do wiary uczoność. I może zdawać się, że dokonało się po nim niezwykłe zjawisko stopienia w jedno erudycji i wiary.

Ze Starego Testamentu uczynił komentarz, którego nie można czytać bez niepokoju. Zawziął się na stare opowieści i w nich właśnie szuka dowodów. Jego porównanie Chrystusa z Mahometem razi nawet profana. Po co porównywać szczęśliwego Mahometa, człowieka wszystkich powodzeń, z Jezusem Człowiekiem wszystkich boleści?

NIE jestem pewny, czy w tych swoich rozmyślaniach bolesnych Pascal poszukiwał Chrystusa. Nawet w nocy 23 listopada 1654 dręczy go jeszcze duma metafizyczna. Woła (za św. Janem): „Ojcze sprawiedliwy, świat nie poznał Ciebie, lecz ja Cię poznałem“. Dialog jest w tym momencie prowadzony nie z Jezusem lecz z Bogiem Ojcem. Osobą nadprzyrodzoną. Jezus jest nazwany, ale Bóg wezwany „Bóg Abrahama, Bóg Izaaka, Bóg Jakuba“.

Kto poszukuje metafizyki, oddala się od Jezusa — i chce ujrzeć Boga Ojca. Kto szuka moralności, szuka Chrystusa i czasami spotyka Go. Potrzeba na to wielu walk i wielu zawodów, aby Pascal uznał (nie przyznając się zresztą do tego), że metafizyka jest wiedzą indywidualną. Poza szkołą nie ma nigdzie oficjalnej metafizyki. W życiu — człowiek poszukujący może stworzyć sobie tylko metafizykę indywidualną: tę, która pozwoli mu żyć i umrzeć. Jeżeli mamy do czynienia ze zjawiskiem religijnym, to nie w porządku metafizycznym, lecz w porządku moralnym. Zrozumiałem to, słysząc jak pewnego dnia jeden z mych przyjaciół, wyborny chrześcijanin, wykrzyknął: „Wierzę w Chrystusa, kocham Chrystusa. Lecz Bóg... Bóg?... Nie rozumiem i wolę nie rozumieć“.

„Wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie...“

Pewnego poranka w Soissons, gdy opatrywałem rannych żołnierzy, odwiedził mnie pewien kapłan. Był to jałmużnik szpitala, człowiek stary, o twarzy słodkiej i naiwnej. Odczekał, aż miałem ręce wolne i bez rękawiczek, dał mi broszurę, która od razu wskazała mi na niego jako na autora i rzekł ze wspaniałą pogodą ducha: „Niech pan doktor weźmie i przeczyta, zebrałem tu wszystkie dowody istnienia Boga“. Jakąż wagę miały te dowody, te rozumowania chłopięce dla duszy, której ambicją był spokój? Nie odważę się powiedzieć.

Gdybyż ten stary człowiek przyszedł i oświadczył: „Bóg istnieje, bo ja go czuję“, byłbym się chętnie pokłonił i to nawet bardzo głęboko. Ten doskonały kapłan czuł Boga, o tym nie śmiem wątpić; ale zlekceważył zjawisko zasadnicze, aby uczepić się kuszących swawoli rozumu. Dowody rozumowe nie są do użytku niewierzących. Natomiast dla człowieka, który otrzymał łaskę Bożą, dowody rozumowe mogą nagle stać się znowu dowodami. Zostały aktem miłości. Są dowodami w oślepiającym świetle miłości.

W toku dramatycznych poszukiwań Pascal pojął, iż należy oddzielić te dwie dziedziny od siebie: życie rozumującej inteligencji i życie wiary. Rada, jakiej udziela, „ażeby zgłupieć“, mówi z całą pewnością o sensie tego podziału.

Wyraża się wtedy, jak Daniel Huet, rozumując ciągle — głosi słowa wyrzeczenia: „Jeżeli istnieje Bóg, jest on zupełnie niepojęty, ponieważ niepodzielny i nie posiadający granic nie zostaje z nami w żadnym związku“.

„MYŚLI“ nie stanowią rozprawy, lecz są to rozrzucone materiały, westchnienia, okrzyki, zająknięcia i zrywy duszy opętanej. Zapiski uczonego sąsiadują z uwagami moralisty, egzegety i metafizyka. Gdyby Pascal był pożył, gdyby był napisał swą księgę, byłby z pewnością usunął wiele urywków i w zamian dodał wiele innych. O książce, którą byłby nam zostawił, możemy snuć słabe przypuszczenia.

Wiele myśli stanowi tylko notatki z lektury, np. to, co mówi o Kartezjuszu. Surowo krytykuje Montaigne'a, ale zdarza mu się, że go przepisuje prawie słowo w słowo. Pozwala sobie na sądy powierzchowne, na zapatrywania namiętne, na napady gniewu. Mówi:

„Wielkość człowieka jest wielka w tym, że się uznaje nędzarzem. Drzewo nie uważa się za nędzarza“. Co za zuchwałość! Co do drzew, to może mają one jakiś sposób rozpoznawania swej wielkości, bądź też odczuwania swej nędzy.

Gdzie indziej mówi: „Co za próżność w malarstwie! Budzi ono podziw dzięki podobieństwu rzeczy, których oryginałów wcale nie podziwiamy“. Jest to niefortunny wybryk. Właściwością sztuki malarskiej jest to, że tworzy syntezę. Kpię sobie ze śliwki, ale jeśli ją namalował Chardin, jest ona dla mnie piękna, gdyż widzę geniusz Chardaina. Cudownością sztuki jest to, że pokazuje nam coś godnego podziwu tam nawet, gdzie nasza zwyczajna spostrzegawczość niczego nie widziała. Pascal nie zawsze miał czas na poprawienie notatek czy choćby na powtórne przeczytanie. Był to neofita geniuszu, apostoł nerwowy, popędliwy. Woła na przykład: „Rzecz to ubolewania godna patrzeć, jak tylu Turków, heretyków, niewiernych idzie w ślady swych ojców dla tej prostej racji, że w każdego z nich wpojono, iż tak jest najlepiej“. Co za niecierpliwy geniusz! Dla tych, którzy nie myślą o nieśmiertelności duszy, nie ma on słów dostatecznie mocnych. Cierpi i nie potrafi tego ukryć. „Ta niedbałość w sprawie, w której idzie o nich samych, o ich wieczność, o ich wszystko bardziej mnie oburza niż rozczula, dziwi mnie i przeraża: dla mnie to potworne“. Powraca do tego z pasją: „Brak mi słów, by określić tak dziwaczną kreaturę“.

PASCAL nie jest naturą tolerancyjną. Nie ma w nim wyrozumiałości ani humoru, ani cierpliwości. „Ganię (wyznaje) zarówno tych, co chwalą człowieka, jak tych, co poniżają go, i tych, którzy głoszą, by szukał rozrywek; mam uznanie tylko dla tych, którzy rozpaczają, lecz ciągle szukają" A więc pragnie dzisiaj, aby szukano. Jutro zaś oskarży nas o to, żeśmy znaleźli. Takiego człowieka, który znalazł, Pascal ani uznaje, ani mu nie winszuje. Tylko ten, co szuka i cierpi, interesuje Błażeja Pascala.

Jeżeli ucieka od świata, nie czyni tego z uśmiechem pogody, ale właśnie z obrzydzeniem, z pogardą. Nie jest bowiem miłosierny, zwłaszcza, gdy go gniew ogarnie. Wymyśla więc: „Nienawidzę jednakowo błazna i pyszałka". Jest to styl polemisty, styl właściwy pisarzowi walczącemu. Oto coś w tym samym rodzaju: „Ci, którzy wierzą, że dobro człowieka jest w ciele, a zło w tym, co odwraca człowieka od rozkoszy zmysłów, niechże nachłepcą się do syta i niech z tego skonają". Jest bez litości dla sceptycyzmu Montaingne'a, bez wyrozumiałości dla dumy Epikteta. A może ma litość dla siebie samego? Nie, nie! Nie więcej, niż dla kogo innego. Kpi sobie ze swej słabości, ze swego tchórzostwa, ze swych obaw. „Największy z filozofów świata (pisze) położony na desce szerszej niż potrzeba, o ile pod nią ma przepaść, poddaje się niepokojom wyobraźni chociaż rozum zapewnia go o bezpieczeństwie". (Montaigne napisał już zupełnie podobną uwagę). A na innym miejscu: „Któż nie wie, że widok kotów, szczurów, tłuczenie węgla itd. wyprowadza rozum z równowagi". Jeszcze gdzie indziej: „Potęga much: wygrywają bitwy; przeszkadzają duszy w działaniu, zjadają nasze ciało".

Nie byłoby końca wyliczeniu wszystkich znamion tej okrutnej spostrzegawczości. Pascal jest obserwatorem bezlitosnym. Przyznaje: „Nienawidzimy prawdy i tych, którzy nam ją mówią". Mówi także rzeczy straszliwe o nudzie, próżniactwie: „Kiedy żołnierz albo też rolnik itd. skarży się na trud, który znosi, zostawmy go samemu sobie". „Całe nieszczęście człowieka, ma jedno tylko źródło. Nie potrafi spokojnie usiedzieć w swoim kącie".

Pascal nie jest świętym, co, zdaje mi się, już powiedziałem, ale również nie jest mędrcem. Jest to wielki duch na pastwie wszystkich dolegliwości istnienia. Nikt tak gorzko nie odczuł, nie obnażył, nie wypowiedział nędzy człowieka. I co za ton, co za żywioł w tych zdaniach, których ludzkość nie przestanie powtarzać dopóty, dopóki będą na świecie cierpiący, mający nadzieję, szukający w męczarni. „Ileż krolestw nas nie zna...". „Wieczysta cisza tych przestrzeni...". I sto innych sentencji. Jeżeli prawdą jest, że poeta jest zbawiony, gdy jeden wiersz, choć jeden jego wiersz przeszedł do potomności, cóż powiemy o Pascalu? Odnajdujemy go przed sobą, przy nas, w sobie, we wszystkich aktach naszego życia, w godzinie czynu równie, jak i w godzinie myśli, w blaskach słońca i w głębi cienia. Ilekroć biorę go znowu do ręki, zdaję sobie sprawę w tej samej niemal chwili, że znam go do gruntu, a jednak owe mnóstwo wspaniałych myśli jest dla mnie jakby całkiem nowe.

JEST to artysta niezrównany. Podziwia wielkość we wszystkim, nawet w złem. Andrzej Gide musiał zadumać się nad tymi sławnymi zdaniami: „Pewien rodzaj zła jest równie trudny do wykrycia, jak to, co się nazywa dobrem. Z tego względu nieraz przyjmuje się za dobre to, co jest szczególnie złe. Trzeba niezwykłej wielkości duszy, aby dojść do tego, jak do dobra". Mało troszczy się o sztuczki stylu, o efekty muzyczne, o brzmienia delikatne. Zna tylko błyskawicę i grom. Czasami pisze na marginesie słowo: porządek. Tak bez wątpienia, porządek przyjdzie później o ile życie nie minie wcześniej.

Głos jego ma taką barwę, jest tak donośny i uwodzicielski, że ulegamy jego czarowi, i od chwili, gdy zadrgał w naszym uchu, naśladujemy go mimo woli. Descartes jest pisarzem dokładnym, silnym i pracowitym. Pascal jest pisarzem wielkim, jest naszym nieporównanym mistrzem. Gdy ma się możność i zaszczyt mówienia po francusku jako w języku macierzystym, nie powinno się nigdy twierdzić: „Ten a ten jest największym pisarzem francuskim". Każdy wielki pisarz jest największym na świecie w godzinie, w której z nim obcujemy, w godzinie, w której on z nami obcuje. Więc otwarcie powiadam: Kiedy otwieram Pascala, jest on pierwszym pisarzem, największym z naszych pisarzy. A często czytam dzieła Błażeja Pascala.

Ma wszystkie pęknięcia, wszystkie zwarcia, wszystkie wyrzutnie języka ludzi zwyczajnych, gdy rozmawiają z całą prostotą swej natury. On jeden może tak pisać: „One (rzeczy) nam się wymykają, a my im". Teraz przykład zaokrąglonego dialogu:

„Dlaczego mnie zabijasz? I o co ci idzie. Czy nie stoisz po drugiej stronie wody...". Nigdy nie zaniecha wtrącić jakiejś notki nieprzewidzianej, malowniczej: „Dziób papugi, który wyciera, chociaż jest czysty". Jest romantykiem, w czym wyprzedza dwa stulecia:

„Człowiek nie wie, gdzie i jakie jest jego miejsce. Jest oczywiste że doznał zawrotu głowy i strącony z właściwego miejsca nie może go znaleźć. Szuka wszędzie z niepokojem, bez powodzenia, wśród nieprzeniknionych ciemności". Hugo, Lamartine i wielu innych mogą tylko podjąć i powtórzyć.

Te uwagi pośpieszne, niezupełne, dają nam zadziwiający obraz geniusza przy pracy. Zbiły one z tropu stu dobrych pisarzy, którzy w nich widzieli wzór do naśladowania. Jest to wzór notatek. Doskonale zdajemy sobie sprawę, kiedy rozumowanie się zaczyna, a kiedy kończy. Geniusz pochłonięty szkicowaniem błyszczy, jak powstająca do życia gwiazda. Jest dla nas dostępniejszy. Szkice przygotowawcze wielu sławnych malarzy olśniewają mnie bardziej, niż ich skończone dzieła. Ksiądz Karol Bosut, który urodził się w 1730 r., a zmarł w 1814, wydał „Myśli" Błażeja Pascala. Znajdujemy tam bardzo piękną rozprawę o życiu i dziełach naszego mistrza. Gdy dochodzi w niej do polemiki „Prowincjałek", przewielebny Karol Bosut tak pisze, mówiąc o jezuitach: „Na ich nieszczęście, w czasie, gdy ukazały się „Listy z prowincji", jezuici nie mieli żadnego dobrego pisarza". Długi czas zastanawiałem się nad tym małym zdaniem. Mogło ono wbić w dumę wszystkich, którzy parają się piórem. Daje ono do zrozumienia, jaką ważność w każdej wielkiej przygodzie ludzkiego życia ma znakomity pisarz. Ksiądz Bosut ma ostatecznie wszystkie racje, by współczuć jezuitom. Cóż może sprawa nawet dobra sama przez się, jeśli nie ma swojego klerka, lub swojego poety Szczęśliwa sprawa, która sobie znalazła, poruszyła i natchnęła takiego Błażeja Pascala!

PASCAL-czarodziej czuje dobrze, że ma słuszność jak Orfeusz. Ale to go nie zadawala. Chciałby mieć również słuszność jak Arystoteles i Sokrates. Jest pożądliwy i nienasycony. Dramat Pascala należy do wszystkich czasów. Obyż w ciągu wieków dzieło jego się zachowało! Nie ma ponad nie nic bardziej ludzkiego. I oby język francuski ocalał także po wszystek czas, aby można było zawsze czytać Pascala w tekście oryginalnym. Dla Pascala główną i jedyną przeszkodą w wierze jest duma. A mnie się wydaje, że Pascal się myli. Istnieje i druga przeszkoda, a jest nią uczciwość. Ten, kto czegoś nie odczuwa, nie może lojalnie oświadczyć, że odczuwa. Ten, kto niczego nie otrzymał, nie może oświadczyć, że jest zaopatrzony, jeżeli jest rzetelny i szczery i jeżeli wyciągnął rękę. Pascal nie należy właściwie do chrześcijan opływających w dobra. Nie należy też — a chciałbym powiedzieć: przede wszystkim — do tych chrześcijan upośledzonych, przeciw którym wyrusza bez odpoczynku w szranki, mimo że tak oczywiście jest podobny do nich.

Nie wątpię w jego wiarę. Wierzę w wiarę Pascala pomimo miotań się i konwulsji tego niezwykłego rozumu. Człowieka inteligentniejszego od Pascala nie ma na świecie. Ja takiego nie znam. Wiara w człowieku tak potężnej inteligencji, oto co zastanawia i zmusza do myślenia. Walka pomiędzy inteligencją a wiarą w tej duszy: co za przykład i co za nauka! Mauriac powiedział o Pascalu na jednej z najczarowniejszych stronic: „To jedyny humanista godny tego pięknego imienia. (Mauriac jest niesprawiedliwy, jak jego mistrz — Pascal), jedyny, który nie wypiera się niczego, co ludzkie: przebywa całego człowieka, aby dojść do Boga".

Przebyć całego człowieka! To podróż długa, droga patetyczna. Bądźmy zatem cierpliwi, my, którym jeszcze daleko do zobaczenia kresu tej drogi. I prośmy o zmiłowanie dla tego, kto może umrzeć jutro, przebiegłszy zaledwie maleńką jej część.

Georges Duhamel

Tłumaczył **Alfred Kalinka**

Tadeusz Staich

W najdziwniejszym mieście

Krakowski „Tygodnik Powszechny" w n-rze 20 z dnia 14 maja br. drukuje artykuł Jadwigi Roguskiej-Cybulskiej p. n. „Podhale na deskach teatralnych". Artykuł ma charakter raczej sprawozdawczy i rejestracyjny, ale przy okazji postuluje również kilka ważnych spraw. Podsumowawszy dotychczasową działalność t. zw. Regionalnych Zespołów Teatralnych — autorka pisze: „Zakopane, jako... punkt przepływu niezliczonych rzesz gości, odbiorców sztuki ludowej wszelkiego rodzaju, musi być z natury rzeczy głównym ośrodkiem artystycznego ruchu całego Podhala". Wniosek bezwątpienia słuszny, lecz u jego myślowych podstaw tkwi wielkie nieporozumienie.

I.

Pisać na temat Zakopanego i Skalnego Podhala jest rzeczą trudną. Pomijając społecznie bardzo ważną i ze wszech miar udaną akcję wczasów, pomijając osiągnięcia w dyscyplinach sportu i dużą żywotność Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, stwierdzić trzeba, że skalna ziemia wlecze swoje dni na marginesie współczesengo życia kraju. Prace PTT, imprezy na Wielkim Stadionie pod Krokwią i doniosła akcja wczasowa — to za mało, jak na pierwszy w pięknie przyrody i w pięknie kultury ludowej region Rzeczypospolitej. Prasa ogranicza się raczej do notatek kronikarskich z Podtatrza: żadnych starć, żadnych dyskusji, żadnych syntez. A przecież jest o czym pisać, jest o czym dyskutować. Wbrew powszechnemu mniemaniu nie zużytkowaliśmy wszystkich wartości tej ziemi, wartości przede wszystkim kulturalnych, a potem gospodarczych i społecznych. Lud żyje tutaj w znacznej części *swoją* kulturą, której jeszcze nie zdążyliśmy zaszufladkować w muzeach i nałożyć stempla petryfikacji, stwierdzić jej śmierć wskutek uwiądu inteligenckiego. Wydaje się więc, jak gdyby kraina ta przestała już inspirować naszą kulturę, jak gdyby zszarzała i jak gdyby wreszcie chciała się upodobnić do pierwszych lepszych peryferii życia kulturalnego, którego ongiś była jedną z istotnych przyczyn. Naturalną stolicą Skalnego Podhala jest Zakopane. Zakopane... Dziwny twór natury — i jeszcze dziwniejszy twór człowieka. Tu — w sposób ostry i bezkompromisowy krzyżują się wszelkie sprzeczne interesy: pięknego z pieniądzem, cepra z góralem, miasta ze wsią, stylu z bezstylowością, zdrowia z gruźlicą, lub też pseudo-twórcy z artystą. Wśród „nastyrmanych" przez naturę piękności tułają się od lat smutne sprawy. Cóż myśmy zrobili — na przykład — ze stylem tatrzańskim w architekturze, cóż zrobiliśmy z adaptacyjną sztuką t. zw. stosowaną? Przyjeżdżający do Zakopanego Francuzi nadziwić się nie mogą, jak daleko piękno odbiegło tu od codziennego życia, ba! od pieniądza! Za pieniądze postawiliśmy bezstylowe, pstrokate i tandetne Krupówki. A przecież za te same pieniądze można było budować *stylowe* Zakopane, można było rozwiązywać sprawy urbanistyczne, architekturę i zdobnictwo nowocześnie, ale równocześnie *stylowo*. Naszymi własnymi wartościami kulturalnymi, polską „egzotyką" mogliśmy przecież ściągać do Zakopanego turystów z całego świata. Snobizm i przekora podyktowały co innego, kazały zapomnieć o inwokującym środowisku podtatrzańskim. Z muzyki góralskiej daliśmy światu tylko „Harnasi". Z plastyki ludowej regionu nie daliśmy już z goła nic, jeśli pominiemy stryjeńszczyznę, nazwisko Szczepkowskiego i formalizujące — a właściwie „izmujące" — zapędy szkoły przemysłu drzewnego. Pisarstwo ludowe? Owszem, pisarstwo ludowe na Skalnym Podhalu jest dużym pozytywem. Któż jednak zna świetne strofy Augustyna Suskiego, któż bliżej zainteresował się wartościami „Janosika" Stanisława Nędzy-Kubińca lub zgrzebnym słowem Adama Pacha? Jeśli zaś mowa o scenie, to t. zw. ludowy teatr poszedł na zupełnie fałszywe tory.

II.

Wspomniany artykuł Roguskiej-Cybulskiej ozdobiony jest fotografią dekoracji do widowiska scenicznego p. t. „Janosik". Widzowie tego spektaklu, jak zresztą i kilku innych „regionalnych sztuk", zobaczyli ciekawy eksperyment jednoczesnego zestawienia prymitywu z wyszukaną adaptacją plastyczną. Na tle „izmowego", symbolicznego wnętrza chałupy lub takiegoż samego pleneru — zjawia się wyjęty z rzeczywistego świata góral, dający świadectwo swojemu bogatemu prymitywowi. Góral, który wcale nie jest aktorem, jest *sobą*, wcale nie „gra" czy udaje, lub naśladuje. Raczej powtarza ściśle życie, kopiuje to, co parę dni temu robił na weselu. W efekcie — eksperyment chybiony. Celem bowiem głównym tego typu widowisk jest ukazanie *rzetelnego prymitywu* i rzetelnego *realizmu* w każdej dziedzinie kulturalnego życia wsi. Ma ono dać obiektywny materiał dla widza *twórcy*. Na Małym Żywczańskim w chałupie Obrochtów — Szymanowski tworzył „Harnasie", słuchając dzikiej, oryginalnej, na pentatonice opartej melodii wierchowej, obserwując „naremny" taniec góralski, chłonąc bezpośrednie wartości prymitywu. Obecny na sali teatralnej widz-plastyk, widz-literat i widz-muzyk — musi mieć podobne warunki, jakie miał Szymanowski. Twórca, który pełną świadomością ma czerpać z Ludowego — nie jest przecież ciekaw „izmów", rozwiązywanych na Krupówkach... Ale nawet przeciętny widz, rekrutujący się z wczasowiczów i turystów — też nie jest ciekaw stylizacji, miejskich opraw i miejskich obyczajów. „Góralski" czy „Zbójnicki" — musi być tutaj tańczony w całej swej *prymitywnej prawdzie*. Adaptację czy stylizację trzeba zostawić Parnellowi. Robi on to znacznie lepiej, niż górale, natchnieni przez inteligenckiego reżysera lub inteligenckiego plastyka. Przemyślną plastykę sceniczną trzeba również zostawić teatrowi, który prezentuje nam *literaturę* dramatyczną, a nie samą rzeczywistość, która to rzeczywistość ma być *podnietą* dla powstawania tej literatury.

Wszystkie dotychczasowe prace t. zw. Regionalnych Zespołów Teatralnych były zdecydowanym pomieszaniem pojęć. Czym innym jest teatr ludowy, czym innym zaś zespół prezentujący treści prymitywne, nie mające żadnych ambicji „teatralnych". Forma teatru ludowego skostniała już wyraźnie w wiernym naśladownictwie sceny inteligenckiej. Niejasny zresztą jest tutaj ten przymiotnik „ludowy". Co on oznacza? Czy oznacza teatr, którego inicjatorami, realizatorami i wykonawcami są *chłopi*, czy też może teatr, który daje przedstawienia dla chłopów? W pierwszym wypadku nie mamy do czynienia z teatrem, lecz po prostu z realistycznym *kopiowaniem* życia, z powtarzaniem treści prymitywnych, nieświadomie dramatyzowanych. W drugim wypadku przymiotnik „ludowy" musi odpaść w ogóle, gdyż przedstawienia dla wsi może i powinien dawać każdy teatr inteligencki, zawodowy lub amatorski. Używam tutaj określenia „teatr inteligencki" *nawet* w znaczeniu wiejskiego teatru amatorskiego, gdyż ten posługuje się z reguły środkami inteligenckimi. Jedyną więc *ludową* formą sceniczną jest przedstawianie wiernych treści prymitywnych, określanych wyłącznie przez tradycję i rzeczywistość. Forma ta — to duży pozytyw. Posiada zasadnicze znaczenie dla ogólnej polskiej twórczości kulturalnej, jako owo „ludowe, idące do ludzkiego, obejmujące w końcu ludzkość całą". Norwidowego „Promethidiona" sprawdził i udowodnił Chopin, zrealizował Szymanowski. To samo zadanie stoi przed współczesną kulturą polską.

Dlatego na zakopiańskich wieczornicach tańca ludowego i ludowego słowa — chcemy widzieć jak najwięcej plastyków, muzyków i pisarzy. Niestety, twórcy ci nie odnajdują na dzisiejszych wieczornicach tych

treści, o które rzeczywiście chodzi. Górale szukają inwokatorów i reżyserów wśród „panów", chętnie przyozdabiają prymityw wartościami już wyemancypowanymi, lub z goła — obcymi, miastowymi. Dochodzi do wręcz śmiesznych zdarzeń. Zaczynamy na zakopiańskich Krupówkach realizować kulturalny fałsz i uświęcać nonsensy. A oto klasyczny przykład: w styczniu b. r. z inicjatywy Miejskiego Referatu Kultury i Sztuki w Zakopanem wystawiono rewię pod nazwą: „Budujemy teatr — szukamy talentów". Wykonawcami potężnej w programie rewii byli górale i t. zw. cepry — inteligenci. Zdarzyło się w tej rewii, że góral grał role „miastowego" kochanka, w jakimś zupełnie bezwartościowym skeczu, mówiąc *żargonem* zakopiańskim, bełkocząc już nie gwarą, ale też jeszcze nie językiem literackim. Zdarzyło się, że ceper-inteligent takim-że samym żargonem czytał licznie zebranej publiczności przydługie i jedno z najsłabszych opowiadań Tetmajera p. t. „Gazda halny". Zdarzyło się wreszcie w tej rewii, że tenże ceper, włożywszy cifrowane bukowe portki i kapelus z muselkami — „grał" górala-bacę, wygłaszając przez piętnaście minut monolog w straszliwym języku, nie mającym nic wspólnego z gwarą. Rewia ta powtórzona była kilka razy w reprezentacyjnej sali teatralnej dla świata pracy, dla wczasowiczów, turystów, dla tych właśnie, którzy przyszli chłonąć wartości wspaniałego, świeżego świata skalnego. Jest to — jak powiedziałem — klasyczny przykład niewłaściwej ingerencji inteligenta w rzeczach kultury wsi. Takich przykładów dostarczyć można wiele, przede wszystkim z tych dziedzin, o których pisze w swoim artykule Roguska-Cybulska. Należy do nich niepotrzebna, zupełnie chybiona przeróbka słabej „Ojcowizny" Anczyca na „sztukę" (!) góralską, należy do nich całkowite bez mała „umiastowienie" scenicznego opowiadania górala Andrzeja Bachledy-Żarskiego p. t. „Nomowiny zbójnickie", należy tu wreszcie zbaletyzowanie „Janosika", reżyserowanie tych t. zw. „sztuk", przydawanie im „akcji dramatycznej" i w. in.

III.

Miałem wiele okazji podróżowania z góralską grupą taneczną po Polsce. Dawano pokazy prymitywu w różnych ośrodkach kraju, organizowano również wieczornice tatrzańskie w różnych domach zakopiańskich. Uczestnictwo w tych imprezach — wiele uczyło. Pamiętam niezbyt dawny występ grupy w Zagłębiu Dąbrowskim. Byliśmy m. in. serdecznie goszczeni przez Dyrekcję i uczennice Państwowego Liceum Choreograficznego w Sosnowcu. I oto — nasze góralki tak się zapaliły do pięknych produkcji tamtych dziewcząt, że... postanowiły oddać do tej szkoły swoje młodsze siostry lub córki. Fakt pozytywny. Nie ma w nim nic „zdrożnego". Przeciwnie: widać zdrowy pęd do kształcenia się, do nauki. Ale równocześnie widać olbrzymi pęd do emancypacji, do kulturalnego wynaturzenia się. W ocenie takich faktów trzeba być niesłychanie ostrożnym. Bo u podstaw tego zjawiska tkwi słynne powiedzenie góralskiej wsi: „co pańskie — to piekne". Miasto imponuje. I znów: to dobrze, że miasto imponuje, ale imponuje tak dalece, że nie pozwala zatrzymać swoich wartości przy nabyciu wartości cudzych, że niweluje całkowicie prymityw, będący istotną pożywką każdej żywotnej kultury. W zakopiańskich wieczornicach można było obserwować ciekawe zjawisko. Po tańcu krzesanym, po drobnym, po zbójnickim, po „regionalizmie" — kierownik domu inicjował ogólną zabawę taneczną. Starsi górale tańczyli walca z równą *prawdą* i gracją, jak owego krzesanego. Młodsi zaś... Młodsi dopiero w bugach-ługach czuli się w swoim żywiole... Stąd nieustanna troska: trzeba tych młodszych silnie w ryzach trzymać, by do figur zbójnickiego względnie drobnego nie wprowadzali figur mocno o „bugołuwatość" podejrzanych...

Tak wyglądają sprawy we wszystkich prawie dziedzinach kulturalnego życia skalnej wsi. My, przy zielonych biurkach bez przerwy stwierdzamy, że kultura ludowa ginie, względnie upodabnia się do kultury ogólnej. Że jest to proces nieodwracalny. Twierdzenie to jest po części słuszne, ale niesłychanie statyczne, wąskie. Trzeba bowiem poprzez szukanie *przyczyn* tej petryfikacji dojść do wniosku, iż proces ten nie jest jednoznaczny z jakimś absolutnym musem, koniecznością społeczną. Że najściślejsze nawet związanie wsi z miastem nie musi być równoznaczne z niwelacją kulturalnej tradycji ludowej. Wydaje mi się, że rozważenie słynnego pytania górala, postawionego Stanisławowi Witkiewiczowi: — panie, co mam robić, by być człowiekiem cywilizowanym, a równocześnie chłopem polskim zostać? — prowadzi do obiektywnej, kompromisowej odpowiedzi. Warunkiem jest tutaj *jakość* ingerencji inteligenta w życiu kultury ludowej.

Jeśli o samo Zakopane chodzi, to na tym terenie sprawa wydaje się być raczej przegrana. To jest bezsprzecznie najdziwniejsze miasto w Polsce. T. zw. autochtoni — dawno przestali być góralami, a równocześnie wcale nie są ceprami. Cepry zaś, stale tu zamieszkujący, nigdy oczywiście nie będą góralami, ale wciąż będą ingerować w najistotniejszych sprawach życia góralskiego. Konieczność tej ingerencji jest jasna. Natomiast jej jakość — zupełnie błędnie postawiona. Przykładem są właśnie słynne zakopiańskie poczynania teatralne, prowadzone tutaj bez przerwy od lat siedemdziesięciu. Marzymy o trzydziestym ósmym z kolei teatrze, bo tyle ich tutaj już na przestrzeni tych lat było.

Wniosek końcowy jest oczywisty: w Zakopanem może istnieć *tylko* teatr zawodowy, subwencjonowany przez państwo, stojący na najwyższym poziomie artystycznym, oraz ludowy zespół regionalny, prezentujący gościom krajowym i zagranicznym *wyłącznie* istotne wartości prymitywu skalnego ludu, podawane realistycznie, kopiowane wiernie z *góralskiego* życia, nie „izmowane" i prowokujące rzetelną, obiektywną twórczość kulturalną.

Tadeusz Staich

Czytajcie

„Słowo Powszechne"

Antoni P. Czechow — Tłum. Wiesława Owczarkówna

SMUTEK

(Opowiadanie)

„Komuż powiem tęskność moją?"
(Z psałterza starocerkiewnego)

Wieczorny mrok. Gęsty, mokry śnieg leniwo krąży wokół zapalonych przed chwilą latarni i kładzie się cienką, miękką warstwą na dachy, grzbiety końskie, plecy, czapki. Woźnica Jona Potapow cały biały, jak widmo. Zgiął się, ile tylko może się zgiąć żywy człowiek. Siedzi na koźle i ani się poruszy. Gdyby zwaliła się na niego cała zaspa, to i wtedy, zdaje się, nie uznałby za potrzebne strząsnąć ze siebie śnieg... Jego szkapa też biała i nieruchoma. Przez swą nieruchomość, kanciastość kształtów i nogi proste, niby pałki, podobna jest nawet z bliska do piernikowego konika za kopiejkę. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, pogrążyła się w zamyśleniu. Kogo oderwali od pługa, od szarych obrazów, do których przywykł, i rzucili tutaj, w ten zamęt, pełny dziwnych ogni, niepohamowanego hałasu i biegnących ludzi, temu nie wolno nie myśleć.

Jona i jego szkapa nie ruszają się z miejsca od dawna. Wyjechali z gospody jeszcze przed obiadem, a pasażera jak nie ma, tak nie ma. Lecz oto na miasto spływa wieczorna mgła. Bladość świateł latarnianych ustępuje miejsca barwom płomienistym, zaś zgiełk uliczny jest coraz większy.

— Woźnica! Na Wyborską! — słyszy Jona. — Woźnica!

Jona drży i skroś rzęs, oblepionych śniegiem, widzi wojskowego w szynelu z kapturem.

— Na Wyborgską! — powtarza wojskowy. — Ale ty śpisz, czy co? Na Wyborgską!

Na znak zgody Jona szarpie lejcami, wskutek czego z jego własnych pleców i z grzbietu konia sypią się płaty śniegu... Wojskowy sadowi się w saniach. Woźnica cmoka, wyciąga po łabędziemu szyję, podnosi się nieco i więcej z przyzwyczajenia, niż z potrzeby, macha batem. Szkapa także wyciąga szyję, krzywi swe nogi, podobne do pałek i niepewnie rusza z miejsca.

— Gdzie się pchasz diable! — od razu na początku słyszy Jona z głębi ciemnej, płynącej wtył i wprzód masy. — Dokąd cię czort niesie? Trzymaj się prawej!

— Jeździć nie umiesz! Trzymaj się prawej! — złości się wojskowy.

Wymyśla mu stangret z karety, gniewnie nań patrzy i otrząsa śnieg z rękawa przechodzień, przebiegający drogę i ocierający się plecami o pysk szkapy. Jona wierci się na koźle, jak na szpilkach, robi łokciami na boki i przewraca oczyma, jak oparzony. Po prostu, nie zdaje sobie sprawy, gdzie jest i poco.

— Jacy to wszyscy podli! — pokpiwa wojskowy. — Szukają tylko okazji, jakby się z tobą zderzyć nos w nos, albo wpaść ci pod konia. Tak się umówili.

Jona ogląda się na siedzącego i porusza wargami... Widocznie, chce coś powiedzieć, ale z jego gardła nie wychodzi nic oprócz chrypienia.

— Co? — pyta wojskowy.

Jona krzywi usta uśmiechem, wysila gardło i chrypi:

— A w tym tygodniu, panie, tego... syn mi umarł.

— Hm... Na cóż on umarł?

Jona obraca się całym tułowiem do siedzącego i mówi:

— A kto go tam wie! Juści, na gorączkę... Trzy dni przeleżał w szpitalu i umarł... Wola boska.

— Skręć na bok, diable! — rozlega się w pomroce.

— Ślepyś, czy co, stary psie? Wytrzeszczaj ślipia!

— Jazda, jazda.... — mówi siedzący. — Tak to my i do jutra nie zajedziemy. Popędzajże!

Woźnica znowu wyciąga szyję, podnosi się nieco i z ciężką gracją wymachuje batem po czym kilkakrotnie ogląda się na siedzącego, ten jednak zamknął oczy i najwyraźniej nie ma zamiaru słuchać. Wysadziwszy go na Wyborgskiej, Jona zatrzymuje się przed szynkiem, zgina się na koźle i znowu ani się poruszy... Mokry śnieg znowu maluje na biało jego i szkapę. Mija jedna godzina, druga...

Wzdłuż trotuaru, głośno stukając kaloszami i kłócąc się, przechodzi trzech młodych ludzi: dwaj wysocy i chudzi, trzeci niski i garbaty.

— Woźnica! Do Mostu Policyjnego! — woła brzękliwym głosem garbus. — Nas trzech! Za dwudziestaka!

Jona szarpie lejcami i cmoka. Dwadzieścia kopiejek zapłata nie za wysoka, ale co to go obchodzi... Czy rubel, czy piątak, jemu teraz wszystko jedno, byleby miał pasażerów...

Młodzi ludzie, popychając się i sypiąc grubymi wyrazami, podchodzą do sań i wszyscy trzej równocześnie pakują się na siedzenia. Zaczyna się rozstrzyganie zagadnienia: którzy dwaj będą siedzieć, a który trzeci stać? Po długich wzajemnych wymysłach, grymasach i wymówkach dochodzą do wniosku, że stać powinien garbus, jako najmniejszy.

— No, popędzaj! — brzęczy garbus, ustawiając się i dysząc w kark Jony. — Chlast, ją! A i czapę masz, bracie, że chyba gorzej nie zobaczyć w całym Petersburgu...

— Chy, chy... — chichocze Jona. — Jaka jest...

— E, ty, „jaka jest"' popędzaj! Będziesz się tak wlókł całą drogę? A po szyi chcesz?

— Głowa trzeszczy... — mówi jeden z wysokich. — Wczoraj u Duchmasowów wytrąbiliśmy we dwóch z Waśką cztery butelki koniaku.

— Nie rozumiem, poco łgać! — oburza się drugi wysoki. — Łże, jak bydlę.

— Bóg mnie skarz, prawda...

— Taka i prawda, jak to, że wesz kaszle.

— Chy, chy! — uśmiecha się Jona. — We-eseli panowie!

— Tfu, bodaj cię diabli!... — gorszy się garbus. — Jedziesz, ty, stara cholero, czy nie? Czy tak się jeździ? Chlaśnij ją batem! No, diable! No, fest ją!

Jona czuje za swymi plecami wiercące się ciało i drżenie głosu garbusa. Słyszy zwrócone do siebie wymysły, widzi ludzi i poczucie osamotnienia przestaje go powoli — pomału dusić w piersi. Garbus póty się wykłóca, póki nie zacznie się dławić fantastycznymi, sześciopiętrowymi wymysłami i nie zaniesie się kaszlem. Dwaj wysocy zaczynają rozmowę o jakejś tam Nadzieji Pietrownie. Jona ogląda się na nich. Doczekawszy krótkiej przerwy, ogląda się raz jeszcze i mamrocze:

— A w tym tygodniu... tego... syn mi umarł!

— Wszyscy umrzemy... — wzdycha garbus, ocierając wargi po kaszlu. — Nuże, popędzaj, popędzaj! Panowie, ja naprawdę nie mogę tak dalej! Kiedy on nas dowiezie?

— To ty go zachęć leciuteńko... po szyi!

— Słyszysz, stara cholero? Bo szyję poskrobię! Lepiej drałować piechty, niż z takim się ceremoniować! Słyszysz, ty, Żmijo Smutkowiczu? A może ty plujesz na nas słowa?

I Jona raczej słyszy, niż czuje, uderzenia po karku.

— Chy, chy... — śmieje się. — Weseli panowie. Daj Boże, zdrowie!

— Woźnica, żonatyś? — pyta wysoki.

— Niby, ja? Chy, chy... weseli panowie! Teraz mam jedną żonę, wilgotną ziemię... Cho, cho, cho... Znaczy, mogiłę! Toć syn mi umarł, a ja żyję... Ładna rzecz, śmierć drzwi pomyliła... Zamiast do mnie, poszła do syna...

I Jona odwraca się, by opowiedzieć, jak umarł jego syn, lecz tutaj garbus lekko wzdycha i oświadcza, że, Bogu chwała, dojechali nareszcie. Otrzymawszy dwudziestokopiejkówkę, Jona długo patrzy za hulakami, znikającymi w ciemnym podjeździe.

Znowu jest sam i znowu ogarnia go cisza... Ucichły nie na długo smutek zjawia się znowu i uciska w piersi z jeszcze większą siłą. Oczy Jony trwożnie i męczeńsko biegają po tłumach, snujących się z obu stron ulicy: czyż wśród tych tysięcy ludzi nie znajdzie się chociaż jeden, który by go wysłuchał? Ale tłumy przebiegają obok, nie zauważając ani jego, ani smutku... Smutku ogromnego, nie znającego granic. Gdyby pękła pierś Jony i wylał się z niej smutek, to pewnie zalałby cały świat. Niemniej, smutku nie widać. Potrafił się wcisnąć w tak znikomą łupinę, że go nie wypatrzysz, choćbyś za dnia szukał z latarnią...

Jona spostrzega stróża z torbą i postanawia zagadać do niego.

— Która teraz będzie godzina, kochanieńki?

— Dziesiąta... Czegóś tu stanął? Jazda stąd!

Jona odjeżdża kilka kroków, zgina się i już nie broni się smutkowi... Uważa za bezużyteczne zwracać się do ludzi. Lecz nie mija nawet pięć minut, kiedy się prostuje, potrząsa głową, jakby uczuł ostry ból i szarpie lejcami... Nie, to ponad jego siły!

„Do gospody! — myśli. — Do gospody!"

A szkapa, jakby zrozumiała jego myśl, zaczyna biec kłusa. Nie upłynęło półtorej godziny, Jona siedzi już koło dużego, brudnego pieca. Na piecu, na podłodze, na ławkach chrapie naród. W powietrzu dym i duchota... Jona patrzy na śpiących, drapie się i żałuje, że tak wcześnie wrócił do domu...

„I na owies nie wyjeździłem, — myśli. — Ot, i od tego to smutek. Człowiek, który zna swoją robotę... który i sam syty i nakarmił konia zawsze jest spokojny..."

W jednym z kątów podnosi się młody woźnica, sennie pochrząkuje i wlecze się do wiadra z wodą.

— Pić zachciałeś? — pyta Jona.

— Ano, pić.

— Tak... Na zdrowie... A mnie, bracie, syn umarł... Słyszałeś? Tego tygodnia, w szpitalu... Historia!

Jona przygląda się, jakie wrażenie wywarły jego słowa, ale nie widzi żadnego. Młody zakopał się z głową i już śpi. Stary wzdycha i drapie się... Jak młodemu chciało się pić, tak jemu chce się mówić. Prędko minie tydzień jak

(Dokończenie na str 12)

Na półkach księgarskich

Z Hamletem poprzez wieki

A mnie pozwólcie światu nieświadomemu rzec, jak doszło do tego.

Hamlet, V, 2.

Powieść jest dziś bez wątpienia najbardziej zróżnicowanym i rozbudowanym gatunkowo rodzajem literackim. Ta różnolitość nie zniechęca autorów do wynajdywania „niewydeptanych ścieżek", nowych tematów, oryginalnych konstrukcji, świeżych sposobów ujęcia treści. Poszukiwania idą w paru kierunkach: unowocześnienia formalno-językowego (Joyce), konstrukcyjnego (Proust, Huxley), tematycznego (pisarze realizmu socjalistycznego). Tadeusz Kudliński zaraz u progu swej twórczości, dziś już dość obfitej, reprezentował typ takiego właśnie, dążącego do wypracowania własnych dróg twórczych pisarza. „Rumieńce wolności", „Uroki" — przed wojną, „Farbowane lisy" — po wojnie, to główne etapy tych dążeń.

Leży przede mną nie nowa (ukazała się w r. 1948) książka tego autora pt. „Dziedzictwo zemsty".*) Już podtytuł („Pół-powieść") zapowiada jakieś nowatorstwo — i nie nadaremnie. „Bohaterem" książki jest bowiem... idea Hamleta, przedstawiona w rozwoju od sagi normandzkiej do najświeższego ujęcia Juliusza Osterwy. Zbliża się to do prób odświeżenia powieści historycznej w „Rumieńcach wolności" czy „Urokach". I tam na plan pierwszy wybijają się nie postacie ludzkie: — bohaterką centralną jest historia, a więc pewna konstrukcja intelektualna.

„Dziedzictwo zemsty" dzieli się na pięć części. Pierwsza pt. „Drzewo genealogiczne" opowiada o przedszekspirowskich dziejach podania o Amlecie (saga normandzka, kronika Sexana, Uczonego, Belleforest, Kyd); druga „Genialny plagiat" — o powstawaniu arcydzieła Szekspira; trzecia („Kukułcze jajo") przedstawia wyimaginowaną, ponadczasową dysputę nad „Hamletem": (biorą tu udział m. in. Voltaire, Ducis, Goethe, Freud, Taine, Vollelt, Norwid); czwarta — „Wywoływacz duchów" — kreśli dzieje „Studium o Hamlecie" Wyspiańskiego; piata wreszcie („Myślenie myślenia") mówi o dwu najnowszych polskich opracowaniach problemu: Bunsche, Goreckiego i Kudlińskiego oraz, zaplanowanym, Osterwy. Kończy książkę mało z treścią związane, publicystyczno-filozoficzne „Zamknięcie".

Samo główne zadanie dzieła: przedstawienie, jak na podłożu baśniowych elementów sagi urastała wiekami opowieść, którą unieśmiertelnił Szekspir i jak później z kolei jego dzieło zmieniały i dostosowywały do siebie gusty i wymagania epok, jak je interpretowano, wyjaśniano, jak budowano skomplikowane nieraz bardzo koncepcje tłumaczące postać centralną; doprowadzenie tego do czasów całkiem współczesnych już na gruncie polskim, — a wszystko w duchu nie rozprawy naukowej, ale właśnie półpowieści: — oto cel równie ciekawy jak trudny do wykonania.

Trudnością największą była właśnie owa beletryzacja problemu historyczno literackiego (ukazanego skrótowo w książce St. Helsztyńskiego „Od Szekspira do Joyce'a"), przełożenia go z języka nauki na język sztuki, ożywienie własnym, samodzielnym w stosunku do poprzedniego, życiem, ukształtowanie wreszcie odpowiednich wyobrażeń historycznej rzeczywistości. Zagadnienie to rozwiązywał Kudliński kolejno trzema sposobami: początkowo (część I i II) wprowadzając na widownię dawnych autorów podanie o Amlecie — Hamlecie (do Szekspira włącznie), następnie (w części III) — organizując ponadczasowe zebranie głównych reprezentantów rozmaitych sądów o dramacie, w końcu, przenosząc się do Polski, przedstawiając, już ze ściślejszym udokumentowaniem, postacie nam bliskie (Wyspiański, Kamiński, Bunsch, sam autor) Kudliński twórca oryginalnej koncepcji Hamleta nie ogranicza się do przedstawienia cudzych poglądów — dyskutuje z nimi, a zwłaszcza twierdzeniu Goethego o Hamlecie i „hamletyzowaniu", przeciwstawia własne zdanie.

Sama różnorodność konstrukcji dowodzi wielkich możliwości inwencyjnych autora. Ale — niestety — tym świetnym pomysłom brak równie doskonałej realizacji. Książka pisana jest, jak widać, pospiesznie, językowo często niewykończona, pełna dłużyzn i wielomówności. Dwie pierwsze części są — od strony koncepcji historycznej — dość szkolarskie, mało oryginalne, miejscami wręcz banalne. Narastanie treści podania o Hamlecie przedstawione jest często schematycznie i nużąco. Część trzecia przeładowana jest materiałem erudycyjnym, którego niestrawności (estetycznej) nie zmniejsza brak nazwisk. Części IV i V (poza „Zamknięciem") stanowią partię chyba najciekawszą, ale i najwięcej tu gadatliwości, na ogół zresztą sympatycznej. Nad całością zaciążył schematyzm, wynikający — co już zaznaczono — z niedorośnięcia poziomu wykonania do poziomu koncepcji.

Na ogół jednak sąd o książce nie wypada ujemnie — potrafi ona, mimo wszystko, zbliżyć czytelnika do „Hamleta", wskazać rozmaite ujęcia tytułowej postaci, wzruszyć przywiązaniem do niej autora. A przede wszystkim pozostanie ona dokumentem śmiałych i odkrywczych wypraw konstrukcyjnych i tematycznych.

Z. N.

*) Tadeusz Kudliński, „Dziedzictwo zemsty", Książnica-Atlas, Wrocław 1948, str. 343.

Grodzieńska w wydaniu książkowym*)

Ilekroć zdarza mi się przeczytać „dzieła zebrane" jakiegoś satyryka, czy humorysty, mam uczucie, jakbym zamiast obiadu zjadł sam deser. Ale nie jedną porcję, nie dwie. Bardzo dużo. Mówiąc konkretnie, sto porcji, bo tyle właśnie „Rozmówek" prezentuje nam Grodzieńska w swej książce. Abstrahując jednak od porównań kulinarnych, trzeba wziąć pod uwagę, że jest to prawie pięcioletni dorobek twórczy Grodzieńskiej i jako taki godny jest uważniejszego przestudiowania. Pamiętajmy również, że to właśnie Grodzieńska urozmaicała nam program radiowy, szpalty „Przekroju", „Szpilek" oraz innych pism stołecznych i prowincjonalnych. I oto rzecz dziwna. Felietony satyryczne Grodzieńskiej rozsiane w prasie lub radio działały na czytelnika lub słuchacza orzeźwiająco, bawiły go i śmieszyły. Te same felietony, przeczytane za jednym zamachem, dają efekt całkiem odmienny. Budzą niepokój.

Autorka tych wszystkich „rozmówek" i „historyjek" ma silnie rozwinięty zmysł obserwacji, co w połączeniu z lekkością pióra daje pannopticum ludzkich przywar, słabości, śmiesznostek i cech wręcz niekiedy patologicznych.

Oto aż piętnaście obrazków („Zanim", „Drzemka", „Tragedia z towarzyszką życia", „Sznycel", „Tragedia astralna" itd., itd.), po przeczytaniu których najodważniejszy kandydat do ożenku dobrze się namyśli, zanim swą lubą poprosi o rękę. Grodzieńska nie szczędzi przedstawicielek swej płci, ukazując je w świetle gorzej niż niekorzystnym. Są to kobiety zazdrosne, ograniczone, rozhisteryzowane, tyranizujące swych mężów. Kobiety, o których mówi Balzac, że swym instynktem i t a l e n t e m d r ę c z e n i a są i będą zawsze zgubą mężczyzny.

Mężczyźni w tych zapasach małżeńskich wychodzą raczej na bezbronne ofiary swych elokwentnych połowic, chociaż np. w „Godzinie zwierzeń" występuje para małżeńska, z której zarówno ona jak i on nie ustępują w gadatliwości. Niekiedy bierze się Grodzieńska również za „panów i władców", dowodząc, że i mężowie są czasem histerykami („Chory mąż") i niedorajdami („Złote ręce").

Ostrzem swej satyry trafia autorka również w tych — a jest ich niestety w naszym społeczeństwie bardzo wielu — którym brak jest kultury dnia codziennego („Demokracja psiakrew", „W tramwaju", „Warszawa — Wrocław") oraz piętnuje tych, którzy nie umieją się odpowiednio zachować wobec obsługujących ich urzędników „Orbis", „Kultura i sztuka"). Złym, nieżyciowym urzędnikom Grodzieńska także nie przebacza („Kredens").

Osobne miejsce zajmują w tym gabinecie osobliwości t. zw. „straszni mieszczanie", a raczej ich smutne niedobitki. Ta wymierająca na szczęście kategoria łapaczy mężów dla swych dorastających córek („Dom z zasadami"), czy też innych mieszczańskich kołtunów („List z wczasów") sprawia naprawdę przygnębiające wrażenie nawet w wesołej książce Grodzieńskiej.

W obrazku p. t. „Podniosła uroczystość" świetnie została odtworzona nudna atmosfera wszelkch uroczystości jubileuszowych, „ku czci dostojnego jubilata", gdzie zakłamanie i patetyczność walczą o lepsze z frazeologią i śmiesznością.

Amatorzy sportu znajdą w „Rozmówkach" wzruszającą historię sędziego piłkarskiego, którego żona i dziatki żegnają przed wyjściem na mecz tak, jakby się wybierał na wojnę („Bohater"). Poza tym — dwa sprawozdania (a la Grodzieńska) z meczów piłkarskiego i bokserskiego („Polonia" — AKS 3:2 (2:1), „Boks Populi — Boks Dei").

W rozdziale p. t. „Garść przeżyć osobistych" rozprawia się autorka dzielnie i skutecznie ze swymi „przyjaciółkami z lat dziecinnych" i innymi wrogami osobistymi.

Ponieważ rzekło się na wstępie, że traktujemy książkę Grodzieńskiej, ja ko sui generis „dzieła zebrane", można by konsekwentnie przeprowadzić literacką analizę jej twórczości, wskazując np. na interesującą zbieżność opowiadania Czechowa „Końskie nazwisko" z humoreską „Woźny na „K", lub na próby lansowania grotesek, że tak powiem, irracjonalno - absurdalnych („Rewanż") lub baśniowo-fantastycznych („Uświadomiony kanarek", „W noc sylwestrową", czy też „Racjonalne wychowanie").

Porzućmy jednak te dociekania, aby zająć się na chwilę ostatnią częścią „Rozmówek", zatytułowaną „Rok 1945".

Czy warto te felietony umieszczać w następnym wydaniu „Rozmówek"? (A nie wątpimy, że się takowe ukażą, powiększone o bardziej aktualne satyry i możliwie najobficiej zaopatrzone w kapitalne w swej prostocie rysunki Ha-Gi.)

G. K.

*) Stefania Grodzieńska — „Rozmówki". Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza. 1949, str. 299. Ilustracje: Ha-Ga.

Nowa praca prof. Ajdukiewicza

Już od dłuższego czasu odczuwaliśmy w naszej literaturze filozoficznej brak tzw. „wstępu", który by przeciętnego czytelnika o średnim wykształceniu wprowadzał w sposób przystępny w podstawowe zagadnienia i kierunki myśli filozoficznej. Zaspokojenie tej potrzeby było tym bardziej konieczne, że wykaz pozycji bibliograficznych z zakresu szczegółowych problemów filozofii katolickiej i marksistowskiej wykazuje stałe tendencje wzrostowe, a dość ożywiony, specyficzny ferment polemiczny na łamach naszej prasy dowodzi, że w dobie współczesnej ludzie interesują się także filozoficzną interpretacją zjawisk społeczno-kulturalnych, pragnąc zarazem włożyć w ideał humanizmu konkretną treść filozoficzną. Jednocześnie zaś obserwujemy niebywały chaos pojęciowy, który uniemożliwia wszelką rzeczową dyskusję, prowadząc zazwyczaj do jałowych sporów, naszpikowanych nierzadko ostrymi inwektywami.

Należy więc z prawdziwym uznaniem ocenić pojawienie się najnowszej pracy prof. Kazimierza Ajdukiewicza *), którego zamiarem było dać zwięzły przegląd klasycznych zagadnień i kierunków teprii poznania oraz metafizyki, z równoczesnym uwzględnieniem, w większości wypadków, toku myśli, który prowadził do uzasadnienia poszczególnych tez filozoficznych i z podaniem przy niektórych spornych kwestiach polemiki, jaką toczyli ze sobą przedstawiciele zwalczających się kierunków.

Autor, starając się ramy swej pracy przystosować do poziomu szerszego kręgu czytelników, w sposób przejrzysty wyjaśnia podstawową terminologię filozoficzną, formułując z dużym obiektywizmem zasadnicze koncepcje filozoficzne. Zarówno jasny styl jak i układ materiału naukowego sprawiają, że książka ta może być czytana z przyjemnością i łatwością przez niewyrobionego nawet intelektualnie czytelnika. Prof. Ajdukiewicz nie precyzuje własnego stanowiska światopglądowego, zaznaczając jedynie że „przeciwstawia się idealizmowi we wszelkiej jego postaci i wypowiada się stanowczo za stanowiskiem realistycznym". Choć to nie koliduje w zasadzie ze światopoglądem katolickim, bowiem teza realizmu może być związana zarówno z marksistowską jak i tomistyczną (a więc katolicką) teorią poznania, to jednak sformułowania autora należy przyjmować z pewną ostrożnością, zwłaszcza gdy w toku swoich wywodów dotyka tematu mistycyzmu, duszy itp. Schematyczność w potraktowaniu tych czy innych zagadnień kryć może niewątpliwie potencjalne niebezpieczeństwo nieporozumień, związanych z błędną interpretacją intencji autora, z czego zresztą on sam zdaje sobie sprawę, gdyż już w przedmowie o tym pisze, „aby nie powstało nieporozumienie, jakoby sformułowania zawarte w tej książce uważał za ostateczne i takie, których by bardziej sprecyzować nie potrafił".

Mimo powyższych zastrzeżeń, stwierdzić trzeba, że książka ta w połączeniu z lekturą „Wypisów filozoficznych", które niebawem mają być wydane, może oddać duże usługi wszystkim, pragnącym zdobyć rzetelną wiedzę z dziedziny podstawowych zagadnień i pojęć filozoficznych. Nie należy jednak sądzić, aby na tej podstawie można było uzyskać pełny i jasny światopogląd filozoficzny, toteż katolik powinien pamiętać o obowiązku skonfrontowania wniosków, wysnutych z książki prof. Ajdukiewicza, z tezami filozofii katolickiej (patrz: ks. prof. dr Piotr Chojnacki „Wstęp do filozofii i zarys ontologii", „Filozofia tomistyczna i neotomistyczna" i in).

J. D.

*) Kazimierz Ajdukiewicz: „Zagadnienia i kierunki filozofii" (Teoria poznania — metafizyka). Kraków. 1949. s. 234, wyd. „Czytelnik" (cena 300 zł).

Czarodziejski pierścień i prawdziwi ludzie

Wznowienie pięknej książki Williama Makepeace'a Thackeray'a „Pierścień i róża" *) przywitać należy z dużym entuzjazmem. Thackeray, słynny angielski klasyk (szkoda, że nie przedstawiono go ani słowem czytelnikowi, nie podano nawet jego narodowości, języka w jakim książka powstała i pełnych imion!), stworzył z tej książki nibybajkę, w której występują autentyczne wróżki i czarodziejskie pierścienie. Ludzie w powieści (bo tak tę książkę nazwijmy), nie są jednak „bajkowi" — ukazani w swej przeciętności, upadkach, niedostatkach fizycznych i duchowych — są zupełnie rzeczywistymi, „typowymi" ludźmi, dalekimi od „bajkowych" skrajności i wyjaskrawień.

W „węższym" sensie — książka Thackeray'a, to satyra na ludzką małoduszność i pychę; w szerszym znaczeniu — „Pierścień i róża", to krytyczne spojrzenie na „wyżyny społeczne" (były to przecież „środkowe" lata ub. wieku). Takie jednak streszczenie książki nie jest jej wiernym portretem: powieść Thackeray'a jest uderzająco miłą, optymistyczną, pobłażliwą dla ludzkich błędów „bajkową" gawędą, napisaną przecudownym, barwnym, chciałoby się rzec „plotkarskim" stylem który zjednywa i urzeka czytelnika ogromną bezpośredniością, szczerością i brakiem wszelkiego patosu. Podkreślić należy ogromną zasługę tłumaczki, która potrafiła zachować wszystkie dziwolągi, zdrobnienia i ekstrawagancje językowe, cały przepych powieści Thackeray'a. (Do tłumaczenia zgłaszam tylko jedno zastrzeżenie: dopełniacz od rzeczownika „uczeń" w liczbie mnogiej brzmi: „uczniów", a nie „uczni", jak napisano na str. 41).

O satyrycznym zacięciu „Pierścienia i róży" niechże świadczy przepyszna wycieczka w stronę dziennikarzy, mogąca stanowić ilustrację do słynnych słów Norwidowskich: „Cóż ci ludzie z poczciwości słowa uczynili!" — „...Pierwszy numer urzędowej „Gazety Dworu J. M. króla Krymtatarii" przyniósł wieść, że Jego Królewska Mość odniosła świetne zwycięstwo nad zuchwałym buntownikiem; następny, że wojsko nikczemnego Padelli zostało w puch rozbite; jeszcze późniejszy, że armia królewska ściga niedobitków wojsk nieprzyjacielskich; a ostatni... no, w ostatnim ogłoszono urzędowo, że król Kalafiore został pobity na głowę i zginął z ręki Jego Królewskiej Mości Padelli I".

Powieść historyczna pozwala autorowi spojrzeć przez pewien pryzmat na „nagiego człowieka", a często także na jego aktualnie trwające otoczenie. Podobnie baśń o czasach „przed dziesięciu czy dwudziestu tysiącami lat" pozwoliła Thackeray'owi ukazać człowieka oryginalnie i przekonywująco.

Miary „uczty duchowej" dopełniają świetne ilustracje Marka Rudnickiego i wspaniała szata graficzna (wygodny, druk, śliczny papier).

W. S.

*) W. M. Thackeray: „Pierścień i róża". Spolszczyła Zofia Rogoszówna. Ilustrował Marek Rudnicki. Wydanie trzecie. Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949. Str. 187.

TYDZIEŃ KULTURALNY

TOWARZYSTWO WIEDZY POWSZECHNEJ

Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik" zaraz po wojnie przystąpiła z ogromnym rozmachem do organizowania wszelkiego rodzaju imprez kulturalnych mających na celu popularyzację nauki i sztuki wśród szerokich mas społeczeństwa. Jeżeli chodzi o działalność głównego inspektoratu kulturalno-oświatowego „Czytelnika" — specjalnie popularne stały się akcje zespołów „żywego słowa" i spotkań autorów z czytelnikami. Miesięcznik popularno-naukowy „Problemy" zyskał sobie ogromną poczytność i prawie 150-tysięczny nakład. Równocześnie jednak na odcinku popularyzowania kultury pracowały inne instytucje, jak Tow. Uniwersytetów Ludowych i Robotniczych. Wobec ogromnego rozwoju tych wszystkich akcji Rada Ministrów uznała tworzące się obecnie „Towarzystwo Wiedzy Powszechnej" za stowarzyszenie wyższej użyteczności publicznej. TWP zorganizowane zostaje na bazie głównego inspektoratu kulturalno-oświatowego Spółdz. „Czytelnik" oraz innych podobnych instytucji. Zadaniem Tow. Wiedzy Powszechnej będzie popularyzacja zdobyczy wiedzy i techniki, akcja upowszechniania kultury, propaganda literacka i czasopiśmiennicza, zaopatrywanie organizacji masowych w popularne wydawnictwa naukowe. Prowadzić ono będzie w całej Polsce, ze specjalnym zwróceniem uwagi na miejscowości kulturalnie zaniedbane, akcję odczytową — obejmie ona zagadnienia życia gospodarczego, społecznego, politycznego, kulturalnego — akcję zespołów „żywego słowa" oraz wieczorów autorskich. Rozwinie działalność wydawniczą (Mała Biblioteczka TWP będzie kontynuacją analogicznego wydawnictwa „Czytelnika"), przejmie wydawnictwo „Wiedzy i życia" oraz „Problemów". W czerwcu walne zebranie Towarzystwa wyłoni zarząd główny.

DWA FESTIWALE

Muzyki współczesnej — Festiwal Muzyki Współczesnej trwać będzie od 15 listopada 1950 roku do 15 kwietnia 1951 roku. Wezmą w nim udział wszelkiego typu zespoły wokalne, instrumentalne i baletowe, teatry muzyczne oraz indywidualni wykonawcy — zawodowcy i amatorzy. Program jego obejmie pieśni masowe, kantaty, oratoria, balety, opery oraz utwory z zakresu muzyki popularnej, kameralnej i symfonicznej.

Polskich Sztuk Współczesnych — Festiwal Sztuk Współczesnych trwać będzie przez cały rok 1950. Finałowe eliminacje w Warszawie będą gdzieś na początku 1951 roku. Wystawione będą głównie sztuki, których dostarczył konkurs zamknięty. Mimo, iż ostateczne rezultaty konkursu okryte są jeszcze kurtyną urzędowej tajemnicy — wiadomo jest, że dał on spodziewane wyniki. Wiadomo już, że na Festiwalu wystawione zostaną m. in. sztuki Gruszczyńskiego, Bieńkowskiego, Rusinka, Ornaka, Pasternaka, Rojewskiego.

MINISTER SZKÓŁ WYŻSZYCH

Prezydent RP mianował Adama Rapackiego, dotychczasowego ministra żeglugi, ministrem szkół wyższych i nauki.

WALNY ZJAZD LITERATÓW

W dniach od 25 do 28 czerwca odbędzie się w Warszawie kolejny Walny Zjazd Związku Literatów Polskich, który dokona przeglądu zagadnień literatury współczesnej. Zjazd zainauguruje programowe przemówienie Adama Ważyka. Zjazd odbywać się będzie w Domu Literatury Polskiej, w kamienicach Johna i Prażmowskiego na pl. Zamkowym. Otwarcie Domu Literatury nastąpi w czasie Zjazdu.

CZESI W POLSCE

W końcowym tygodniu maja odbył się tydzień filmów czeskich, w czasie którego wyświetlanych było kilkadziesiąt obrazów naszego południowego sąsiada.

W początkach czerwca przyjechał do Polski po raz drugi prof. Józef Skupa ze swymi kukiełkami, sławnym Spejbalem i Hurwinkiem. Przedstawienia kukiełek czeskich prócz Warszawy odbyły się w kilku dużych miastach.

PROF. WALLON

30 maja przyjechał na stałe do Polski prof. francuski, Henri Wallon, który obejmie katedrę pedagogiki i psychologii dziecięcej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Prof. Wallon usunięty został z katedry uniwersyteckiej przez rząd francuski za czynny udział w akcjach obozu postępowego.

ZJAZDY NAUKOWE

Wkroczyliśmy w ożywiony sezon zjazdów naukowych, poprzedzających ogólnopolski kongres nauki. Po sygnalizowanych już w poprzednich numerach „Dziś i Jutra" zjazdach odbyły się ostatnio jeszcze następujące:

W Warszawie — zjazd fizjologów, zjazd Polskiego Towarzystwa Językoznawczego, w Gdańsku — Polskiego Tow. Radiologicznego. W Krakowie — zjazd hematologów, w Szczecinie — ginekologów.

W Paulinum pod Jelenią Górą odbył się zjazd uczonych biorących udział w pracach nad badaniem początków państwa polskiego, w związku ze zbliżającym się Millenium, to jest tysiączną rocznicą założenia Państwa Polskiego. W tej chwili prace wykopaliskowe prowadzone są w 23 miejscowościach: w Szczecinie, Gnieźnie, Poznaniu, Lednicy, Gdańsku, Biskupinie, Gieczu, Trzemesznie, Strzelnie, Kaliszu, Kruszwicy, Łęczycy, Lutomiersku, Niemczy, Wrocławiu, Ślęzy, Opolu, Cieszynie, Krakowie (Wawel), Tyńcu, Wiślicy, Rokitnie k. Błonia i Bródnie Starym k. Warszawy. Nigdy dotąd nie były prowadzone tak intensywne badania archeologiczne.

DWA WYDANIA „PANA TADEUSZA"

„Książka i Wiedza" wypuściła w ćwierćmilionowym nakładzie albumowe wydanie „Pana Tadeusza" w graficznym opracowaniu i z rysunkami Tadeusza Gronowskiego. 12 plansz wielobarwnych, kilkaset rysunków i przerwyników, każda ksiąga w innym kolorze, piękna czcionka, bezdrzewny papier, płócienna oprawa. Rzeczywiście strona poligraficzna książki zasługuje na najwyższą pochwałę.

Film

Hrabia Monte-Christo

(Film produkcji francuskiej w dwóch seriach wg powieści Aleksandra Dumasa. Reż. Robert Vernay, oper. M. Barry, muz. R. Desermieres)

Film jest dziewiątą już próbą sfilmowanie tej powieści Dumasa. Nie widząc nawet wszystkich dziewięciu kolejnych wersji należy przypuszczać, że wszystkie były zbudowane na podobnym nieporozumieniu. Nieporozumieniu wynikającym z opinii, że sensacyjno-awanturnicza fabuła posiada elementy, które stworzą po dokonaniu pewnych skrótów dobry scenariusz. Okazało się, że film bardzo konsekwentnie demaskuje wszelkie płyciny i nieprawdopodobieństwa sytuacji, że budując rozwój wypadków na nieuzasadnionej psychologicznie fabule wykazuje fikcyjność akcji. Ponieważ przebieg wydarzeń ma charakter schematyczny nie umotywowany obrazem przeżyć zaangażowanych w nie ludzi, akcja nie przemawia, nie wzrusza, ale przeciwnie, mimo pozornej logiki wypadków (pozornej bo opartej na schemacie sytuacyjnym) nudzi i sprawia wrażenie jakiejś ogromnej nieporadności.

Robert Vernay, reżyser i autor scenariusza, uległ pokusie zachowania jak największej dokładności w odtworzeniu zawartości fabularnej powieści. Ten pietyzm idący tak daleko, że wiernie oddano papierowość postaci, stworzył niemal karykaturę filmu sensacyjno-awanturniczego. Karykatura jednak jest mało zabawna, wynika bowiem nie z zamierzeń realizatora, ale z jego pomyłki. Reżyser potraktował swój scenariusz bardzo serio, i ta powaga w traktowaniu zdezaktualizowanego schematu, stylu i maniery fabularnej, wydaje się całkowicie nieudolna. Wprowadzenie bardzo płyciutkich akcentów społecznych w niczym nie ratuje, nie konkretyzuje sytuacji. Cierpienia marionetek nie mają cech poruszających, niczego nie interpretują i do nikogo nie przemawiają. Słuszna w zasadzie (szkoda rzeczywiście pieniędzy na ratowanie złego filmu) oszczędność w inscenizacji filmu sprawiła, że epokę wystylizowano bardzo marginesowo. Z jednej strony film nie zatrzymujący się na momentach opisowych, przekreślający plastyczną wymowę obrazów, anty-epicki w założeniu — nie mógł konsekwentnie stwarzać jednolitej stylizacji epoki, z drugiej dekoratorzy wykazali absolutny brak jakichś aspiracji artystycznych. Makiety w ogromnej większości są krzywdząco brzydkie i banalne.

Reżyser nie uczynił niczego aby przekonać widza o prawdopodobieństwie sytuacji. Można jego metodę określić w ten sposób, że przełożył rekwizyty i chwyty powieściowe na język filmu i wyprodukował serię obrazków, ale zrezygnował z wysiłku napełnienia życiem tych chwytów. Konflikty i intrygi są tak płyciutkie i tak bardzo teatralne, że robią wrażenie sfilmowanej, smutnej, pozbawionej wdzięku operetki. Elementy tajemniczości i zaskoczenia sytuacją pozostały rekwizytami bo owa tajemniczość jest zmową aktorów, którą widz z miejsca rozszyfrowuje.

Aktorzy z wielką powagą i bez żadnych aspiracji artystycznych robią to co im każe scenariusz. Przebrani w kostiumy mówią słowa których nie przeżywają, robią wrażenie amatorów [illegible] skiem, w którym biorą udział, ale nie bardzo rozumiejących czego od nich wymaga scenarzysta.

Nie wiemy dlaczego ten właśnie film został zakupiony, wybrany i pokazany polskiej publiczności. Sądzę, że publiczność wolałaby widzieć wznowienia filmów francuskich przedwojennych albo zobaczyć realizowane w czasie wojny czy zaraz po wojnie filmy francuskie, których walory artystyczne i merytoryczne są jakąś legitymacją ich wartości.

Wydaje się, że na filmy tak bardzo złe jak „Hrabia Monte-Christo" szkoda pieniędzy, czasu publiczności i naszych sal kinowych.

Leszek

Co piszą inni...

Ogólnopolska Wystawa Plastyków otwarta w Warszawie w marcu obudziła szerokie zainteresowanie w prasie polskiej. Nasze pismo poświęciło jej artykuł w numerze 21. W „Tygodniku Powszechnym" (nr 19) czytaliśmy artykuł sprawozdawczy Heleny Blumówny („Pierwsza Ogólnopolska Wystawa Plastyków").

Scharakteryzowawszy problematykę realizmu socjalistycznego, autorka poświęciła garść uwag wystawionym dziełom sztuki oraz dyskusji toczonej na marginesie wystawy. Wskazała ona na związek między marksistowskim pojmowaniem realizmu w sztuce, a światopoglądem materialistycznym, ale jednocześnie również ze swojego punktu widzenia recenzentka podkreśliła słuszność pewnych postulatów stawianych nowej sztuce: „W warszawskiej dyskusji powtarzało się kilkakrotnie zdanie o konieczności zmiany zasadniczego pojęcia piękna wobec narastających nowych zadań sztuki. Żądanie niewątpliwie słuszne, gdyż zatrzymywanie się na niezmiennej pozycji zdobytych już wartości oznaczałoby rzeczywiście formalizm czy też manieryzm lub konformizm, i prowadziłoby po prostu do martwoty sztuki. Ale z drugiej strony potępienie całego okresu od impresjonizmu do abstrakcjonizmu i całkowite łączenie go ze światopoglądem burżuazyjnym stanowiłoby zbytnie uproszczenie zjawiska".

Zresztą Blumówna wyraźnie zaznacza, że nie ma zamiaru podejmować walki o impresjonizm, od której wyraźnie się odcina: „Inaczej jednak przedstawia się zagadnienie, gdy stoimy wobec twórczego kształtowania pewnych elementów kolorystycznych w oparciu o własną koncepcję formalną". Jako przykład podaje tu autorka wystawione w Warszawie obrazy Eibischa. „Do realizmu w malarstwie nie prowadzi tylko jedna, z góry określona droga — pisze słusznie Blumówna — zresztą przyznanie nagród obrazom istotnie różnym wskazywałoby na to, że jury nie pragnęło narzucać artystom jednego sztywnego schematu".

Spośród wypowiedzi marksistowskich dotyczących wystawy najpoważniejszą pozycją jest artykuł Juliusza Starzyńskiego pt. „Plastyka w walce o nową treść" drukowany w 5 i 6 numerze „Nowej Kultury" który przez rzeczowe podejście do tematu wyróżnia się zwłaszcza na tle dość mętnej i miejscami naiwnej recenzji w 3/4 numerze „Przeglądu Artystycznego" („Pierwsza Ogólnopolska Wystawa Plastyczna").

Jak Starzyński precyzuje postulaty realizmu socjalistycznego? W miejsce kryteriów czysto formalistycznych — pisze autor — „stawiamy na pierwszym miejscu kryterium treści, kryterium prawdy życiowej dzieła sztuki... Podstawowym założeniem realizmu socjalistycznego jest nie tylko odtwarzanie obecnie istniejącej rzeczywistości i rozgrywających się wydarzeń, ale czynne wpływanie na dalsze przemiany, czynny udział w przekształceniu i w przebudowie świata". Ta ostatnia teza staje się dla Starzyńskiego punktem wyjścia do rozróżnienia **„realizmu romantycznego"**, w którym „jednorazowa prawda i konkret ludzkiego istnienia przechodzi w heroiczne uogólnienie" (przykład: rzeźba Alfreda Wiśniewskiego „Granica pokoju"), oraz **„realizmu naiwnego"**, w którym „przeważa element opowiadania i wnikliwego a wrażliwego odtwarzania istniejącej rzeczywistości" (przykład: rzeźba Stachurskiej „Do szkoły po wiedzę"). „Realizm romantyczny" ma być pełnią realizmu socjalistycznego, gdyż nie ogranicza się on do odtwarzania istniejącej rzeczywistości, ale ukazuje jej perspektywy rozwojowe i przyszłościowe poprzez swoisty rodzaj symboliki. „Zgodnie z podstawowym założeniem socjalistycznego humanizmu — pisze Starzyński — odkrywana prawda winna być wspólną prawdą socjalistycznej zbiorowości, ale musi być zarazem jednostkową, na wskroś osobistą prawdą i przeżyciem jednostki".

Takie postulaty wysuwa prof. Juliusz Starzyński w imieniu krytyki marksistowskiej. Oczywiście, poza tymi ogólnymi założeniami istnieje wielka ilość problemów szczegółowych, które mogą stać się osobnym przedmiotem dyskusji, istnieje cała problematyka wiązania przez marksistów tych generalnych (czasem — zdawało by się — truizmowych) haseł z wymogami światopoglądu materialistycznego. Stosunek niemarksistów do złożonej problematyki realizmu socjalistycznego starali się scharakteryzować: Helena Blumówna w cytowanym wyżej artykule oraz Dominik Horodyński w naszym piśmie. Te wypowiedzi nie mogły oczywiście wyczerpać całego zagadnienia, które zresztą nie ma bynajmniej charakteru statycznego. Na zakończenie chcielibyśmy podkreślić jeszcze jeden punkt wywodów Starzyńskiego, który nam jest bliski: zagadnienie humanizmu pracy ludzkiej jako tematu artystycznego. Chodzi tu o podwójne podkreślenie indywidualności człowieka na tle kolektywnego procesu produkcji: nie wolno zagubić człowieka w grupie ludzkiej oraz trzeba zaznaczyć zwycięskie panowanie człowieka nad maszyną. My nazwiemy to postulatem personalistycznym.

Z. K.

PATETYCZNA APOSTROFA WSTĘPNA.

O, ty, który czytać będziesz tą rubrykę w numerze dzisiejszym i w numerach następnych, czytaj ją tak, jak jest pisana — bez gniewu, spokojnie, z uśmiechem pogodnego zrozumienia dla słabości i małostek ludzkich. W rubryce tej notować będziemy wszystko, co przyda się kiedyś, a już i dziś na pewno przydać się może, do lepszego poznania czegoś, co nazywa się człowiek, a zwłaszcza czegoś, co wyzywa się per człowiek piszący.

Rubryka „Sine ira" projektowana jest jako zbiór migawkowych zdjęć, chwytających przede wszystkim publicystykę dni naszych in flagranti w żenujących pozach, niesmacznych grymasach, na tzw. gorącym uczynku, przy małych, symptomatycznych grzeszkach, świństewkach lub innych zajęciach zawodowych.

Wydaje nam się, że możliwie bogaty album migawek tego rodzaju, przeglądany — jeszcze raz to przypominamy — bez gniewu, jak domaga się jego tytuł, stanowić będzie konkretną pomoc, wskazówkę, ba, ostrzeżenie nawet w pracy każdego publicysty, któremu może się przecież zdarzyć, że oprócz swoich artykułów zechce uważnie przeczytać, co piszą — oczywiście, znacznie gorzej — inni.

Czytelnikom natomiast nasz zbiór migawek, który prawdopodobnie będą swymi listami i uwagami wzbogacali, pozwoli na właściwą ocenę wielu chwytów, wielu tricków i wielu „zasad" pracy publicystycznej.

PCHLIZM PEDAGOGICZNY.

Podawszy skromne uzasadnienie 'ogiczne nowej rubryki, możemy być spokojni o właściwe jej przyjęcie i zrozumienie. Inne uzasadnienia wrodzona skromność każe nam przemilczeć. Nie wolno nam jednak przemilczeć w rozważaniach wstępnych sprawy tzw. pchlizmu.

Termin ten stworzył bodajże Ostap Ortwin, a spopularyzował Karol Wielki (oczywiście nie francuski, lecz Irzykowski). Słowo „pchlizm" wywodzi się z powiedzenia Czepca: „A pon widzis ino pchły". Oznacza ono tyle co: pesymizm, malkontenctwo, wątrobizm.

W naszej rubryce mamy zamiar realizować zasady pchlizmu świadomego albo — jak kto woli — pchlizmu pedagogicznego. Tzn.: widzimy nie tylko pchły, ale widzimy i pchły. Chcemy służyć ważnej sprawie odpchlenia ludzkości.

Przystępujemy wreszcie do dzieła. Dzisiaj wklejamy do naszego albumu kilka zdjęć migawkowych, które zrobiliśmy „z obróconym na przeszłość obliczem", przeglądając stare, bo sprzed kilku miesięcy, czy tygodni pisma.

Przeglądanie starych pism to pouczające i miłe zajęcie. Ma człowiek tzw. dystans, może ustalać tzw. proporcje i łatwiej mu zachować tzw. epicki spokój. Nie chwyta go, ani śmiech pusty, ni litość, czy trwoga, lecz wypełnia uśmieszek spokojnego zrozumienia, który oczywiście wcale nie jest uśmieszkiem akceptacji.

Sine ira

Wystąpienie inauguracyjne

DWIE REDAKCJE „DZIŚ I JUTRO".

Ot, taka poważna (zdawałoby się) „Twórczość" z lutego miesiąca Roku Pańskiego 1950 drukuje przemówienie sympatycznego skądinąd chłopca, który kropnął naprawdę wzruszającą mówkę „Na otwarcie IV Zjazdu Polonistów".

Zjazdy te mają kilkuletnią tradycję, która najlepiej wyraża się cytatem z Mickiewicza: „Ten sobie mówi, ten sobie mówi, pełno radości i krzyku".

Oto, co sobie i innym powiedział Zbigniew Wasilewski. Powiedział, że „psychologizm — formalizm — eklektyzm — chowanie głowy w piasek — to były kolejne etapy odwrotu obrońców idealistycznej nauki na naszym terenie". Potem powiedział (i — co dziwniejsze — napisał, — co najdziwniejsze — wydrukował), że „ostatni Zjazd Polonistyczny w Łodzi zakończyli oni (tzn. obrońcy idealistycznej nauki) szumną zapowiedzią ukazania w tym roku nareszcie pełnej, poprawnej, naukowej metody badań literackich: metody „katolickiej". Pisał o tym sprawozdaniu kol. Lichniak w „Dziś i Jutro". Trzeba powiedzieć otwarcie kol. Lichniak łudził się".

Ja tego Lichniaka zawsze podejrzewałem o najgorsze, ale że jest obrońcą idealistycznej nauki i że tak napisał to mnie zdziwiło! Poszukałem tego sprawozdania zjazdowego. Znalazłem to sprawozdanie zjazdowe. No i proszę, co się okazało! W Polsce Ludowej wychodzi jakieś drugie „Dziś i Jutro". Bo w tym warszawskim był artykuł Lichniaka, ale nie było tego, co wyczytał w nim miły Zbysio. Czy można się teraz dziwić Lichniakowi, że nie napisał sprawozdanie z ostatniego zjazdu? Stwierdźmy z epickim spokojem; nie można. To drugie „DZIS I JUTRO" znowu zmieniłoby sens jego wypowiedzi, a jakiś nowy przewodniczący Ogólnopolskiego Związku Kół Polonistycznych P.M.A. miałby okazję do zadania jeszcze jednego „ciosu".

OSTRY MIECZ PANA R. M.

W „Nowej Kulturze" znaleźliśmy felieton „Temelin, buraki, Bach, traktory i regaty" p. rm.

Pisze on m. in.: „O ile swawolny „Przekrój" dostarczył mi poważnej strawy lirycznej, o tyle poważne „Dziś i Jutro" pobudziło mnie do szczerej wesołości, spóźnionym Prima Aprilisem. Oto nieuprzedzając czytelników rozsiało w numerze wiersze kilku zdolnych uczniów II i III klasy gimnazjum, zbliżonych zapewne do redakcji „Dziś i Jutro" za pośrednictwem któregoś z kół Sodalicji Mariańskiej. Jeden z nich, niejaki Marek Antoni Wasilewski w wierszu „Regaty" pisze:

Wszyscy czytelnicy naszego pisma wiedzą, co Marek Antoni Wasilewski pisze, więc opuszczamy cytat. Nie wszyscy nasi czytelnicy wiedzą, jak jego twórczość ocenia nasz r. m. Więc cytujemy:

„Chłopiec jest oczywiście zważywszy jego przypuszczalny wiek, dość zdolny. Za parę lat, kiedy zda maturę, może pisać całkiem niezłe wiersze. Myślę jednak, że przed wydrukowaniem swych sportowych utworów w szkolnej gazetce ściennej, której próbkę dało „Dziś i Jutro" powinien sprawę owych galerników i miraży przedyskutować z krytykiem Z. Lichniakiem lub ze szkolnym polonistą na kółku literackim".

Przyznajemy, że nas do jeszcze szczerszej wesołości pobudziła niepoważna czasami „Nowa Kultura" jeszcze bardziej spóźnionym Prima Aprilisem. Oto, nie uprzedzając czytelników, zamieściła w tym samym numerze wiersz zdolnego ucznia chyba I klasy gimnazjum, zbliżonego prawdopodobnie do redakcji „Nowej Kultury" za pośrednictwem jakiegoś koła. Tym uczniem jest niejaki Zbigniew Sawko. Niejaki Zbigniew Sawko pisze:

„Pociski śnieżycę czesząc —
Ginęły w śnieżycy,
Gasły nie spiesząc
Zawracały grożąc i krzycząc..."

Chłopiec jest, oczywiście, zważywszy jego przypuszczalny wiek, dość zdolny. Za parę lat, kiedy zda maturę, może pisać całkiem niezłe wiersze. Myślę jednak, że przed wydrukowaniem swoich imieslowowych utworów w szkolnej gazetce ściennej, której próbkę dała nam „Nowa Kultura" powinien sprawę brakujących zaimków zwrotnych i „zawracających pocisków" przedyskutować z krytykiem R. Matuszewskim lub ze szkolnym polonistą na kółku literackim.

KALAM WŁASNE GNIAZDO

Do podobnych wniosków skłania umieszczony w tym samym numerze „Nowej Kultury" wyczerpujący (cierpliwość czytelników, bo nie temat) artykułas p. Ludwika B. Grzeniewskiego pt. „Ku czyjej chwale?".

Jeśli o tym artykule wspomnimy, to tylko dlatego, aby przez chwilę kalać własne gniazdo. Na pewno zły to ptak, co własne gniazdo kala; ale jeszcze gorszy ten, który je tylko wychwalać potrafi. Powiedzmy otwarcie: „Dziś i Jutro" przeholowało, okazało za dużo dobrej woli, odpowiadając na artykuł nieznanego nikomu p. L.B.C. — artykułem Pawła Jasienicy (por. nr. 20 z dnia 21 maja br. „Jeszcze o Marshallu"). Wyglądało to tak, jak wytoczenie ciężkiej, solidnej armaty przeciwko brzęczącemu coś nieskładnie komarowi. Trzeba było komara zostawić jego losowi, zwłaszcza, że komar czytelnikowi powierzył sąd, „kto tu jest oryginalnym myślicielem, a kto cymbałem". Być może, że Jasienica trafnie oceniając taką myśl komara jako myśl samobójcy, chciał go ratować przed nieszczęściem. No, to jeszcze można zrozumieć.

ZASTANAWIAJĄCA SUMIENNOSC

„Co za sumienność!" — wykrzykiwałem pełen podziwu, czytając w numerze 7 „Nowej Kultury" z dnia 14 maja br. ciekawą notatkę p. grz. pt.: „Zastanawiające zbieżności". Autor notatki analizuje bliżej fragment prozy poetyckiej Antoniego Podsiada, zamieszczony w numerze 17 „Dziś i Jutro" z analizy wynika, że Podsiad zapożyczył się u Różewicza i Miłosza. W imieniu kierownictwa literackiego naszego pisma pragnę na tym miejscu wyrazić autorowi notatki szczere podziękowanie za bezinteresowny przyczynek do badań nad twórczością Antoniego Podsiada. Dla ukonkretnienia dalszych prac p. grz. komunikuje, że analizowana przez niego proza poetycka powstała w okolicach roku 1945.

TEORIA I PRAKTYKA

Skoro jesteśmy przy poezji, warto zanotować ciekawą charakterystyczną uwagę na temat „poezji". Niektórzy z nas pamiętają chyba głos Grzegorza Lasoty w dyskusji, która toczyła się przed kilkoma miesiącami. Młody dyskutant gromił wtedy reakcję i redakcję, mówił o tym, jak nie należy pisać i jak należy pisać, kogo należy i kogo nie należy drukować.

Myśleliśmy: no, to się nazywa mieć wysokie wobec poezji wymagania. Przypadkowo wpadł nam w rękę stary (12) numer arcynudnego pisma „Po prostu" z dnia 31 marca br. W numerze znaleźliśmy wierszyk Lasoty. Z wierszyka cytujemy fragment:

A dzisiaj, a dzisiaj
Każdy wie:
„Florian" — brygada
— Hanusik — Z.M.P.

A dzisiaj, a dzisiaj,
Marchlewskiego imię
z pieców hutniczych
wraz ze stalą płynie,

Jego imieniem
nazwano brygadę
by dalej, by dalej
walczyła o sprawę,

By dalej, by dalej,
w upale nie łatwo
dawało wciąż stali
na okręt, na traktor...

Gdyby nie szacunek dla tematu i postaci wspomnianej w przytoczonym fragmencie proponowalibyśmy kontynuację:

By więcej, by więcej
wierszówek namotał,
i więcej pieniędzy
wziął Grzegorz Lasota.

POD KRAKOWEM CZARNA ROLA.— JA JEJ ORAŁ NIE BĘDĘ...

Po wprost przeciwnej stronie jest wprost przeciwnie. To znaczy: nie można tego, co o wierszach Lasoty powiedzieć o felietonach Kisiela. Czyli, że nie można powiedzieć, że niegdyś znakomite, stoją te felietony i dzisiaj na poziomie publikującego je organu. Raczej należy powiedzieć, że leżą o wiele niżej. O tyle niżej, o ile Kisielewski gra wyżej od Kisiela. Ten ostatni zaatakował w dwu kolejnych felietonach („Tygodnik Powszechny" z dnia 14 maja br. i numer 21 z dnia 28 maja br.) nieskromną osobę Zygmunta Lichniaka.

Młody publicysta doczekał się tam niewątpliwie najnowszej, najbardziej jednoznacznej i najzrozumialszej oceny swojej postawy i dotychczasowej działalności. Jeśli po „druzgocących" zarzutach Kisiela ma on jeszcze odwagę żyć, pracować i projektować nowe rubryki w piśmie, które zrozumiało istotny sens całej kampanii „dowcipnego" felietonisty, to przypisać to należy chyba sile przyzwyczajenia i chyba zdolności dostrzegania kto za co i jak atakuje.

Dyskusji nie będzie. „Argumenty" felietonisty muszą przekształcić się w argumenty poważnego i odpowiedzialnego publicysty, aby dyskusję w ogóle opłacało się podejmować. Kotlety sprzed lat już zjeżczały. Krzyknąć „veto" i uciec na Pragę potrafi byle Siciński. Chcąc dyskutować, trzeba argumentować. „Obiecujący młodzieniec" formułował swoje argumenty. „Wybitny publicysta" nie powiedział nic nowego oprócz starych ogólników z dyskusji, którą przed laty cichaczem opuścił. Można — i trzeba — do niej wrócić, ale nie drogą ogólników, artystowskiej frazeologii demagogii elitaryzmu, lecz drogą uczciwej konfrontacji argumentów, postaw, faktów historycznych i współczesnych.

To, oczywiście, za dużo na felieton, ale felieton to za mało na dyskusję. Więc: żałujemy, ale z zaproszenia nie skorzystamy. Żałujemy, bo w dyskusji udałoby się może wytłumaczyć, że oprócz urokliwego słowa „autonomia" istnieją słowa „humanizm integralny", czy „hierarchia wartości", że oprócz zarzutów „barbarzyńskiego" szacunku dla konkretu istnieje zarzut mieszczańskiej, wygodnickiej dezintegracji pojęć.

No i jeszcze jedno: istnieje słowo „kontekst". Można je używać w szerszym znaczeniu; kontekst społeczny, można używać i w węższym znaczeniu: kontekst takiego czy innego artykułu. Z pierwszego nie wolno wyrywać zagadnień (np. człowieka). Z drugiego nie wolno wyrywać słów (np. „ponadczasowa próżnia). W pierwszym bowiem wypadku mamy do czynienia ze smutną psychologią ludzi obrażonych na historię, w drugim zaś wypadku ze smutną patologią publicystów, skazanych no powiedzmy — na „nieświadome" mijanie prawdy. W obydwu zaś wypadkach jesteśmy świadkami strzelania i bez prochu i w płot.

Tłumacząc na język konkretów: obyd wie postawy manifestują się w typie wypowiedzi felietonowych przypominających zdanie z Gałczyńskiego: „Nas z Krakowa nie nabiorą".

O jerum, jaka szkoda, że nie wszyscy dają się „nabrać" na rzeczową dyskusję, uciekając w szranki ostatniej kolumny, której nikt — choćby chciał — serio brać nie może, , a na której udaje się zająć niby — postawę. Wydaje nam się, że zwracamy na nią uwagę we właściwym czasie i na właściwym miejscu. Jeśli byliśmy trochę w ramach tej rubryki za poważni, to dlatego, że poważny wydał nam się problem mimo niepoważnej jego interpretacji i omówień.

Wszystkich, których zaniepokoiła objętość dzisiejszych uwag, uspakajamy wiadomością, że była to „uroczysta" inauguracja nowej rubryki projektowanej w rozmiarach znacznie mniejszych, o czym łatwo będzie można się przekonać z następnych numerów.

Licho

SMUTEK

(Dokończenie ze str. 3)

syn umarł, a on jeszcze, ni tędy, ni siędy, z nikim ani słowa... Należy pomówić porządnie, z zastanowieniem... Należy opowiedzieć, jak syn umarł... Należy opisać pogrzeb i jazdę do szpitala po odzież po nieboszczyku. We wsi została córeczka, Anisja... Należy i o niej pogadać... Toż nie byłoby teraz o czym pogadać mało — wiele? Słuchacz musiałby wzdychać, wzdychać i lamentować. A z babami mówić jeszcze lepiej. Te, choć i durne, w ryk po dwóch słowach.

„Potrza iść konia dopatrzeć, — myśli Jona. — Spać zawsze zdążysz... Spanie nie zając..."

Ubiera się i idzie do stajni, gdzie stoi jego koń. Myśli o owsie, o sianie, o pogodzie. Kiedy jest sam, nie może myśleć o synu... Pomówić o nim z kimkolwiek można, ale myśleć samemu i rysować sobie jego obraz, męka nie do wytrzymania.

— Żałujesz? — pyta Jona swego konia, widząc jego błyszczące oczy. — Żuj se, żuj... Żeśmy na owies nie wyjeździli, to siano jeść będziem... Tak... Jużem za stary do woźnicowania... Synowiby być woźnicą, a nie mnie... To był prawdziwy woźnica... Tylko, żeby żył...

Jona milczy dobrą chwilę i ciągnie dalej:

— Tak to, bracie, kobyłeczko... Nie ma Kuźmy Jonycza... Kazał żyć długo... Wziął i niepotrzebnie umarł... Powiedzmy, że przy tobie akurat źrebaczek i ty temu źrebaczkowi matka rodzona... I nagle, powiedzmy, ten źrebaczek przykazuje, żebyś długo żyła... Serce nie zaboli?

Szkapa żuje, przysłuchuje się i tchnie na ręce swojego pana.

Jona zapala się i opowiada jej wszystko.

Przełożyła
Wiesława Owczarkówna

W FABRYCE NOLLARD LAFAYE

(dokończenie ze str. 2-giej)

Widywałam ich, jak przechodzili między warsztatami i nakazywali powiedzieć małej Henriette siedzącej na brzeżku skrzyni, by wstała i wróciła do maszyny. A mała Henriette cierpiała na tak dotkliwe bóle brzucha, że nie mogła się już wyprostować — była dwukrotnie operowana.

Przechodzili przez hale. Dostrzegali wszystko, pilnowali wszystkiego, wyszukiwali błędy i nieistotne uchybienia, które uszły nawet oku dyrektora. Nie mówili nigdy nic, nie odzywali się do nas. Po prostu zatrzymywali się przy warsztacie którejś z robotnic troszkę dłużej niż zwykle i przez minutę przyglądali się jej pracy. Później bez słowa przechodzili dalej kontynuując swój obchód. A po kwadransie nadbiegał wściekły Coco „piękne oczko".

— Ty dziwko, robisz nawalanki, masz odpadki w kieszeni, p. Raoul to widział. Żeby się to nie powtórzyło! Zrozumiano! Nie pozwolę, żeby mnie drugi raz zwymyślano za ciebie.

Było to dla mnie torturą, gdy któryś z fabrykantów zatrzymywał się za moimi plecami. Zastanawiałam się, co w mojej robocie jest błędne: i tak zresztą jeśli robiłam coś niewłaściwie, to czując jego wzrok na plecach starałam się pracować szybciej, plątałam nitki, rwałam przędzę wszystko robiłam źle. Wtedy przychodził Coco „piękne oczko", zawiadamiał mnie, że jeśli jeszcze raz dopuszczę do obracania się pustych cewek na maszynie, będę mogła zabrać manatki i zobaczyć w innej fabryce, czy zapłacą mi tygodniówkę za zniszczenie przędzy i partaczenie towaru.

Na tym polegała ich siła. Groźba usunięcia z pracy. Przy ich metodach pracy mieli niedoścignione dla innych ceny kosztu, zawsze znajdowali zamówienia, zwyciężali wszystkich konkurentów w przetargach o dostawy na wielkie rynki zbytu. Robotnicy wiedzieli, że u Nollarda i Lafaye nigdy nie ma bezrobocia. Nie rozumieliśmy dlaczego, ale wiedzieliśmy, że zaangażowanie się tam jest równoznaczne ze zgodą na złe traktowanie; wzamian jednak miało się pewność pracy przez cały tydzień. I tak u Nollarda i Lafaye nigdy nie brakowało robotników. Mogli wybierać. Na miejsce jednej odchodzącej zjawiało się dwadzieścia innych. Po cóż więc nasi fabrykanci mieliby kogokolwiek oszczędzać, czy mieć dla kogoś względy?

tłum. J. A. Górski

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto PKO — Nr 1-722
Wydawca Kolegium Redakcyjne
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, procz poniedziałków i piątków, godz 12 — 13.
Prenumerata miesięczna 60 złotych Kwartalna 180 złotych
Druk. Skolimowska 5.
B-110211